I. B.
im.
. W.
u
odzi

W numerze: Uczelni muzycznej dzień powszedni – rozmowa z doc. Z Płoszajem
● JERZY URBANKIEWICZ Szkoci i my ● JOLANTA MACH Typy pod bronią ● RYSZARD BINKOWSKI Deptanka
● Zewsząd o wszystkim ● Nowela kryminalna

odgłosy

15. XI. 1970 r.
46 (678)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

Fot. Piotr Jaskow

KAROL BADZIAK

Miasto które zadziwia

ISTNIEJĄ MIASTA, KTÓRE NAJBARDZIEJ ZNANE SĄ NIE Z WIDZENIA, LECZ Z NAZWY, ZE SŁYSZENIA. WŁAŚNIE TARNÓW DO TAKICH NALEŻY. ZAWDZIĘCZA TO ZAPEWNE SŁAWIE ZAKŁADÓW AZOTOWYCH. PRZED WOJNĄ MÓWIŁO SIĘ: FABRYKA ZWIĄZKÓW AZOTOWYCH W MOŚCICACH. DZIŚ — ZAKŁADY AZOTOWE W TARNOWIE. FAKTYCZNIE ZNAJDUJĄ SIĘ ONE W ŚWIERCZKOWIE — TAK BOWIEM DAWNIEJ NAZYWAŁA SIĘ TA WIEŚ POD TARNOWEM ZANIM ZOSTAŁA MOŚCICAMI.

Inż. Ignacy Mościcki nie był może najlepszym prezydentem, lecz chemikiem był wybitnym. Myśl budowy fabryki nawozów sztucznych rzucił jeszcze w 1923 roku, w cztery lata później udało mu się ją wcielić w życie. Zakład jak na owe czasy był olbrzymi. Aparaturę sprowadzono z Niemiec, Francji, Anglii, Szwecji, Szwajcarii i Czechosłowacji. Wybudowano 53 hale fabryczne o łącznej kubaturze pół miliona metrów sześciennych. W grudniu 1929 roku wyprodukowano pierwsze wózki nawozu sztucznego. Była to w owym czasie jedna z nielicznych fabryk państwowych w naszym kraju. Dzięki niej Tarnów z miasta krawców, fryzjerów i blacharzy zaczął przekształcać się w miasto o charakterze przemysłowym. Przedtem znajdowały się tam wyłącznie małe, prywatne fabryczki,

Dalszy ciąg na str. 3

NATALIA CANOVA

Kopernik w Rzymie

19 lutego 1873 roku trzy uniwersytety włoskie: w Bolonii, Padwie i Rzymie obchodziły uroczyście czterechsetną rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika.

Kopernik przebywał w Italii osiem lat. W Bolonii i Padwie studiował, w Rzymie wykładał astronomię. Jego teoria ruchu Ziemi dookoła Słońca skrystalizowała się w Italii.

W lutym 1873 roku zjechali do Rzymu uczeni z całego świata. Wśród nich byli także Polacy. Trzy wszechnice włoskie wysłały swych przedstawicieli również na obchody kopernikowskie w Polsce. Wieczne miasto chciało się zrehabilitować wobec wielkiego astronoma znieważonego tu dekretami inkwizycji. Zrehabilitować chciał się również Uniwersytet Rzymski, który dopiero z początkiem XIX wieku zaczął wykładać system heliocentryczny Kopernika.

Na fotelach w auli uniwersyteckiej zasiedli przedstawiciele rządu włoskiego. Salę zdobiło gipsowe popiersie wielkiego astronoma, wykonane przez polskiego rzeźbiarza Wiktora Brodzkiego. Dzieło to tak się podobało ministrowi oświecenia publicznego, że zamówił u Brodzkiego marmurowe popiersie Kopernika dla Uniwersytetu. Gdy po zakończonych już uroczystościach na posiedzeniu rady uniwersyteckiej zastanawiano się, gdzie umieścić popiersie wielkiego astronoma, profesorowie wysunęli projekt założenia muzeum Kopernika. Projekt rada przyjęła. Uzyskał także poparcie ministra oświecenia publicznego. Jednak na pomoc finansową rządu przy realizacji muzeum nie można było wówczas liczyć, gdyż Italia znajdowała się w trudnej sytuacji gospodarczej.

Włosi liczyli na pomoc Polaków, ponieważ dział polski miał tworzyć zasadniczą część przyszłych zbiorów. Minister polecił rektorowi Uniwersytetu Rzymskiego, żeby zwrócił się do wybitnych przedstawicieli polskiego społeczeństwa z prośbą o nadsyłanie darów. Rektor wysłał list do popularnego na emigracji pisarza J. I. Kraszewskiego, aby zachęcił rodaków do poparcia muzeum. Lecz Kraszewski nie podjął akcji. Przysłał tylko od siebie kilka wydawnictw kopernikowskich, 2 medale, kopię portretu ojca Kopernika. Kraszewski nie wierzył w możliwość realizacji projektu muzeum Kopernika.

Upłynęło kilka lat. Włosi ciągle szukali odpowiedniego kandydata na organizatora muzeum. I wreszcie znaleźli. Był nim dr Artur Wołyński, powstaniec z 1863 roku, badacz Kopernika, współpracownik czasopism włoskich. Wołyński uważał, że utworzenie muzeum Kopernika w Rzymie, stolicy świata, udokumentuje polskość słynnego astronoma i będzie świadczyć o naszej żywotności kulturalnej. Z zapałem zabrał się więc do zbierania pamiątek kopernikowskich. W tym celu rozpisał od 1876 roku szeroką korespondencję, nawiązując kontakty z krajem i emigracją polską. Umieszczał entuzjastyczne artykuły w czasopismach polskich o tworzącym się muzeum, ogłaszał odezwy wzywające do składania darów, które powoli zaczęły napływać do Italii. Początkowo gromadził je w swym prywatnym mieszkaniu we Florencji, później wynajął osobny lokal.

Nie mogąc już dłużej ponosić osobiście kosztów organizowania muzeum, postanowił utworzyć fundusz muzealny. W tym celu wydał odezwę do zamożnych obywateli Warszawy, redaktorów poczytnych czasopism, uczonych polskich zapraszając ich na członków-założycieli muzeum po wpłaceniu 100 franków lub 100 lirów, czy 30—40 rubli, ewentualnie przysłaniu darów odpowiadających tej wartości. Nazwiska ofiarodawców miały być wyryte na marmurowym piedestale popiersia Kopernika. Odezwa ukazała się w „Kłosach". Propagandę muzeum utrudniała cenzura rosyjska, przysłało subskrypcję tylko piętnastu Polaków. Umożliwiło to jednak Wołyńskie

Dalszy ciąg na str. 5

ze ŚWIATA

Pierwszoplanową w minionym tygodniu była TEMATYKA NIEMIECKA. I to co najmniej z trzech powodów: polsko - zachodnioniemieckich rozmów w Warszawie, dziewiątego spotkania przedstawicieli czterech wielkich mocarstw na temat Berlina zachodniego oraz wyborów do Landtagu (krajowego parlamentu) w Hesji.

Rozmowy delegacji NRF w Warszawie wzbudzają zrozumiałe zainteresowanie. Świadczy o tym już sama liczba akredytowanych dziennikarzy zagranicznych oraz — w ślad za tym — wiele relacji i komentarzy w prasie światowej. Przebieg rokowań jest wprawdzie poufny, ale rzecznicy obu delegacji udzielają dziennikarzom ogólnych wyjaśnień. Nie znając szczegółów rozmów — autorzy korespondencji najczęściej snują domysły na temat, czy obecna faza rokowań zakończy się parafowaniem układu?

Odpowiedź na to pytanie przyniosą najbliższe dni, być może będą ją znali czytelnicy już w chwili, kiedy ten numer „Odgłosów" dotrze do ich rąk. Ograniczmy się więc tylko do zauważenia, że min. Scheel — wbrew wcześniejszym zapowiedziom — nie wyjechał do Bonn na debatę parlamentarną, a jedynie przerwał rozmowy na krótki wyjazd do Brukseli, gdzie obradowała Rada Ministrów EWG. Maksymalnie zatem wykorzystuje się czas na rozmowy plenarne i robocze spotkania ekspertów. Nawet podróż Scheela do Krakowa i Oświęcimia posłużyła do kontynuowania wymiany poglądów. Jeśli więc sądzić po intensywności rozmów — zbliżają się one z pewnością do końca, którym ma być wypracowanie projektu układu o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków. Zasadniczym zaś warunkiem takiego procesu — przypomnijmy to raz jeszcze — jest potwierdzenie ostatecznego charakteru istniejącej zachodniej granicy Polski, zgodnie z ustaleniami Układu Poczdamskiego. Słusznie bowiem zauważył min. Scheel w jednym z licznych ostatnio wywiadów, że „porozumienie w tej sprawie musi być jednoznaczne, aby niemożliwa była jego dwuznaczna interpretacja".

Rozmowom warszawskim, podobnie jak i poprzednim rundom, towarzyszą napady opozycji CDU-CSU na politykę wschodnią Brandta. Właśnie znany ze swych prawicowych poglądów Karl von Guttenberg opublikował krytyczny artykuł pod adresem rządu. Czytamy tam m. in.: „Zamiar rządu Brandta — Scheela uznania dziś i na przyszłość granicy na Odrze i Nysie nie oznacza nic innego, jak tylko próbę ucieczki przed odpowiedzialnością, jaką ponosi rząd federalny za cały naród niemiecki". I dalej: „Nie ma żadnej wątpliwości, że konstytucja mówiąc o „Niemczech" — rozumie przez to Niemcy w granicach z 1937 roku..."

W artykule tym znów zabrzmiała, często przez nasze uszy do niedawna wyławiana śpiewka o wyłączności NRF do reprezentowania narodu niemieckiego w granicach III Rzeszy. Nie jest to, oczywiście punkt widzenia całej CDU-CSU, jednak mnożenie się głosów w rodzaju Guttenberga świadczy o prowadzeniu ataku przeciwko uznaniu europejskich realiów.

Na tym tle interesujący jest wynik wyborów do krajowego parlamentu w Hesji, piąty od czasu zmiany rządu sprawdzian poparcia dla polityki „małej koalicji". Ostatnie dni przed wyborami wypełnione były w NRF rozważaniami, czy FDP uzyska w nich niezbędne do udziału w parlamencie 5 proc. głosów, czy też nie. Można wyobrazić sobie, jak bardzo przeżywał niedzielę min. Scheel — wszystko bowiem wskazywało, że z 3.800 tys. głosów — na FDP paść może od 4,9 proc. do 5,2 proc.

W czasie, gdy uwaga komentatorów koncentrowała się na dwóch punktach: Warszawie i Hesji — w Berlinie odbyła się IX runda rokowań czteromocarstwowych. Podczas tego spotkania, jak zakomunikowano, główną rolę odgrywały problemy dróg dojazdowych do zachodniego Berlina. Rzecznik rządowy — Ahlers skwitował tę rundę rokowań „zadowoleniem z osiągniętych postępów", — które jak wyjaśnił — dotyczyły spraw proceduralnych. W krótkim odstępie czasu, bo już 16 listopada, odbędzie się kolejna runda, być może, na szczeblu ekspertów. Niektóre agencje podają, że w rachubę mogą wchodzić także „rokowania na zlecenie", a więc przedstawicieli NRD i NRF, działających z upoważnienia wielkich mocarstw. Takie rozmowy dotyczyłyby szczegółów technicznych, związanych z tranzytem do Berlina.

W przeglądzie wydarzeń tygodnia nie można ominąć jeszcze dwóch ważnych faktów: wyborów w Stanach Zjednoczonych i trzeciej tury SALT, tym razem znów w Helsinkach.

Administracja waszyngtońska komentuje WYNIK WYBORÓW jako „ogromny sukces", „olśniewające zwycięstwo" itp. Tymczasem prawda jest taka, że w senacie republikanie rzeczywiście zwiększyli stan posiadania o 1 mandat, natomiast w Izbie Reprezentantów stracili 8. Gubernatorami po wyborach, którę od były się w 35 stanach, będzie 21 republikanów, podczas gdy przed 3 listopada — 32. Gdzie więc to „wspaniałe" zwycięstwo? Administracja odpowiada na to, że nigdy partia rządząca nie powiększa swego stanu posiadania. Podkreśla się również, jako element sukcesu fakt, że Nixon w senacie może teraz liczyć na „większość roboczą", ponieważ kilku demokratów popiera jego politykę. Wszystko to jednak naprawdę nie upoważnia do obwieszczanego głośno „olśnienia".

I wreszcie temat ostatni: ROZMOWY RADZIECKO — AMERYKAŃSKIE o ograniczeniu zbrojeń strategicznych, wznowione po 11-tygodniowej przerwie. Czy z trzecią ich fazą można wiązać nadzieje? Po zakończeniu tury wiedeńskiej odpowiedzieliśmy na to pytanie twierdząco. Wstępne oświadczenia, złożone w Helsinkach, nie dają podstaw do zmiany oceny. Oczekuje się powolnego postępu, który nie będzie zakłócany żadnymi taktycznymi rozgrywkami.

W. SŁAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

Podwodny skandal

„STERN" — HAMBURG

W ostatnich dniach wojny, w maju 1945 roku, z portu we Flensburgu wypłynęły w morze trzy niemieckie okręty wojenne. Marynarze wiedzieli, jaki ładunek transportują i dokąd: bomby i granaty napełnione śmiercionośnym gazem. Obecny przy załadunku oberfeldfebel Luftwaffe poinformował załogę, iż podczas rejsu należy zachować daleko idące środki ostrożności:

„Jeśli by takie coś wyleciało w powietrze — powiedział — w promieniu piętnastu kilometrów nie pozostało by żywej duszy".

Pod nadzorem kapitana Carla Alberta Gadowa — obecnie pracuje w charakterze pilota portowego na Kanale Kilońskim — ów niebezpieczny ładunek zatopiono w morzu.

Po upływie długich lat dzielących nas od tamtego dnia, z bomb i granatów, zżartych korozją, na powierzchnię wody zaczął się przedostawać gaz.

W lipcu tego roku zachodnioniemiecka telewizja, w programie zatytułowanym „Panorama", ostrzegła urlopowiczów spędzających czas na zachodnim wybrzeżu Bałtyku, iż grozi im niebezpieczeństwo zatrucia tabunem i iperytem (tabun — najsilniejszy środek trujący, powoduje śmierć, porażając miesień sercowy — red.). Jednak miejscowe władze administracyjne przeszły nad tym do porządku dziennego. Następnie alarm podnieśli rybacy, którzy w pobliżu miejsc zatopienia bomb dostrzegli ślady iperytu na wodzie — tłuste brunatne plamy.

Wkrótce potem wyszło na jaw, iż u brzegów NRF, na zachód i na wschód od Bornholmu, spoczywa na dnie Bałtyku około 200 tysięcy ton tego groźnego ładunku, a 40 mil morskich na południowy wschód od wyspy Gotland, na terytorialnych wodach Danii, leży na dnie morskim przeszło pięć tysięcy ton bomb i granatów napełnionych gazem trującym.

Gdy fakty te dotarły wreszcie do wiadomości szerszych kręgów społeczeństwa, przedstawiciel rządu Republiki Federalnej złożył oficjalne oświadczenie, iż „podejmie się odpowiednie kroki w tej sprawie, ale dopiero po wykonaniu dokładnych pomiarów dna morskiego w miejscach zatopienia bomb i granatów".

W sierpniu tego roku w „Panoramie" znów poinformowano społeczeństwo zachodnioniemieckie o stwierdzonych wypadkach ulatniania się gazów trujących. Władze prowincji Szlezwik-Holsztyn skierowały do miejsc, w których znajdują się te „podwodne arsenały" statek miejscowego instytutu geograficznego oraz wyasygnowały 100 tysięcy marek na sfotografowanie dna morskiego w tych rejonach.

Jest to zaledwie kropla w morzu środków pieniężnych, które należałoby asygnować w celu zlikwidowania tego „pokładu" bomb gazowych. Zdaniem sekretarza stanu Radke, suma ta powinna sięgać około 200 milionów marek. Okazuje się jednak, iż żadna odnośna instytucja zarówno federalna jak i prowincjonalna, nie chce siebie obciążać tak wielkim wydatkiem.

Wszystko, co dotychczas w tej materii zrobiono, sprowadza się do zaopatrzenia miejscowych aptek w duże ilości chloraminy. Stanowi ona podstawowy lek przy udzielaniu pierwszej pomocy w wypadku poparzenia iperytem...

1 = 2 lub 3...

„SUNDAY TIMES" — LONDYN

Każdego ranka sprzedawcy firmy handlowej „Marks and Spencer" śpieszą na specjalne kursy, aby nabyć umiejętności szybkiego liczenia w pamięci: jeden równa się dwóm lub trzem, dziesięć równa się pięćdziesięciu i tak dalej.

(Według nowego angielskiego systemu walutowego 1 szyling będzie równy 5 nowym pensom, a 1 nowy pens — 2 lub 3 starym — red.).

Również wiele innych firm brytyjskich szkoli już swój personel w zakresie tych wielce skomplikowanych przeliczeń pieniężnych.

Zbliża się dzień „D" — 15 lutego 1971 roku, kiedy to już na zawsze odejdzie w przeszłość angielski system walutowy, istniejący w tym kraju od roku 720! Australia i Nowa Zelandia już przeszły na system dziesiętny, teraz kolej na Anglię. Nowy funt szterling będzie równy 100 pensom (na razie jeszcze 1 funt równa się 20 szylingów, 1 szyling równa się 12 pensów), zaś szyling będzie w ogóle wycofany z obiegu.

Reforma walutowa, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, najmocniej uderzy po kieszeni konsumentów. Szczególnie boleśnie odczują ją ludzie w podeszłym wieku, którzy stanowią znaczny procent ogółu kupujących. Dotychczas nie wydano w Anglii ani jednego plakatu czy planszy, które by poglądowo i przekonywająco informowały społeczeństwo o sensie reformy walutowej. Wszystkie opublikowane dotąd materiały informacyjne wymagają dodatkowych wyjaśnień.

Wiele zamętu spowodowało wypuszczenie nowych banknotów i bilonu. Blisko półtora tysiąca ton nowych monet o wartości jednostkowej pół pensa, prawdopodobnie w ogóle nie wejdzie do obrotu, bowiem najmniejszą obiegową monetą ma być jeden pens. Stare sześciopensówki pozostaną na rynku jeszcze na przeciąg półtora roku od momentu wprowadzenia reformy walutowej. Sklepy będą je przyjmować ale reszty będą wydawać w nowych pensach.

Wielu brytyjskich ekonomistów ocenia reformę walutową jako akt utajonej inflacji, na którą zgodził się rząd. Ponadto, chociaż właściciele sklepów powiadomili oficjalnie o „zamrożeniu" cen, to jednak istnieją wszelkie dane, aby przypuszczać, iż nie uniknione — przy wprowadzaniu na rynek nowych pieniędzy — zaokrąglanie cen spowoduje w ostatecznym rachunku wzrost drożyzny. Już dziś ceny niektórych towarów poszły w górę.

Elektroniczny lekarz

„QUICK" — MONACHIUM

Kto chociaż raz leżał w szpitalu, dobrze zna długą procedurę zbierania danych do historii choroby. Nader często wywiad lekarski, wypytywanie pacjenta o ogólny stan jego zdrowia, przekształca się w prawdziwe „przesłuchanie". Z reguły są to stereotypowe pytania, dotyczące przebytych chorób w dzieciństwie, snu, apetytu itp. Najbardziej krępujące są pytania, które sondują sferę intymnych przeżyć chorego. Odpowiada się na nie bardzo niechętnie.

Niestety bez tej nieprzyjemnej procedury obejść się jeszcze nie można, stanowi ona bowiem podstawę wstępnej diagnostyki, choć na tym etapie — pytań i zapisu odpowiedzi — zajmuje lekarzowi mnóstwo czasu.

Dążąc do uproszczenia tego procesu, w jednym z zachodnioniemieckich szpitali skonstruowano specjalny komputer. Ów mózg elektroniczny „zadaje" pacjentowi określone pytania, notuje odpowiedzi i na podstawie analizy tego wywiadu ustala wstępną diagnozę, którą następnie uściśla lekarz podczas obserwacji i leczenia chorego.

Jak odbywa się rozmowa „elektronicznego lekarza" z pacjentem? Na specjalnym ekranie, w określonej kolejności ukazują się pytania. Odpowiadając na nie pacjent musi nacisnąć jeden z czterech guzików, znajdujących się przed ekranem. Każdy z nich oznacza jedną z następujących odpowiedzi: „Tak", „Nie", „Nie wiem", „Pytanie niezrozumiałe". Ogółem pacjent odpowiada na około 300 pytań. Jeśli się zdarzy, iż po jakimś tam pytaniu nie naciśnie on odpowiedniego guzika, na ekranie pojawi się napis: „Wszystko w porządku, ale nie odpowiedziałeś na ostatnie pytanie. Przeczytaj je jeszcze raz". I na ekranie ponownie ukazuje się pytanie, na które pacjent nie odpowiedział.

Komputer potrzebuje zaledwie ułamków sekund na analizę otrzymanych danych i postawienie wstępnej diagnozy. Praktyka wykorzystania tego systemu diagnostycznego wykazała, iż pacjenci chętnie „współpracują" z maszyną. Cenną zaletą komputera jest zaprogramowana możliwość kwestionowania prawdziwości niektórych odpowiedzi.

Duża pojemność „pamięci" mózgu elektronicznego pozwala mu na rozróżnianie symptomów blisko 40 tysięcy chorób.

Mimo tych niewątpliwych zalet, elektroniczne urządzenie diagnostyczne nie cieszy się sympatią zachodnioniemieckich lekarzy.

Smog nad Tokio

„SIUKAN BUNSIUN" — TOKIO

Jedenaście milionów tokijczyków wie, że oddycha najbardziej zanieczyszczonym powietrzem na świecie. Dym z 75 tysięcy kominów fabrycznych tudzież spaliny, które wydziela półtora miliona samochodów, zanieczyszczają powietrze w Tokio o wiele bardziej, aniżeli w jakimkolwiek innym mieście na kuli ziemskiej.

Każdego miesiąca na jeden kilometr kwadratowy powierzchni miasta opada około 34 ton sadzy (na Nowy Jork 17 ton). Życie w Tokio przypomina nieraz koszmarne sceny z filmów fantastycznych. Policjanci, kierujący ruchem ulicznym muszą co pewien czas zejść ze stanowiska, żeby na posterunku pooddychać czystym tlenem. W większych kawiarniach i domach towarowych zainstalowano automaty tlenowe — za 25 centów każdy może się „zaciągnąć" tlenem.

W dniach, kiedy na miasto opada szczególnie gęsty smog, dzieci przychodzą do szkół w maseczkach z gazy, ale i to mało pomaga. Jak informuje dyrekcja jednej z tokijskich szkół, piąta część uczniów choruje na oczy i nieżyty nosa i gardła.

Smog nad Tokio jest tak gęsty, iż znajdująca się niedaleko góra Fudżi jest widoczna z obrzeża stolicy zaledwie 40 dni w ciągu roku. Skażona atmosfera zniszczyła takie mnóstwo drzew wiśniowych, iż władze miejskie musiały się zwrócić z prośbą do Stanów Zjednoczonych o odstąpienie sadzonek tych samych wiśni, które Tokio ofiarowało Waszyngtonowi 50 lat temu.

Czterdzieści procent stumilionowej ludności Japonii i większa część jej fabryk są skoncentrowane w rejonie, stanowiącym zaledwie jedną dziesiątą część kraju. Tokio znajduje się w samym centrum tego rejonu.

Ostatnio, liczne protesty społeczeństwa, artykuły w gazetach i nawet demonstracje przeciwko budowaniu fabryk w pobliżu osiedli mieszkalnych przyniosły pewne rezultaty. Wydano zarządzenia o obowiązkowym instalowaniu filtrów na samochodach w celu neutralizacji ulatniających się spalin, o przeniesieniu fabryk w mniej zaludnione rejony oraz o przejściu na ogrzewanie nowych domów gazem, w miejsce nafty.

Jednakże wszechmocne ministerstwo pracy wciąż sprzeciwia się jakimkolwiek posunięciom, które by mogły zagrozić rozwojowi przemysłu. Nawet działacze polityczni przyznają w licznych wystąpieniach, iż długie narady w sprawie „reformy" o polepszeniu stanu zdrowotnego stolicy są, koniec końców, czczą gadaniną. Pewien przedstawiciel oficjalnych kół rządowych powiedział: „Obecna sytuacja znacznie się pogorszy, nim zacznie się polepszać"...

● Zewsząd o wszystkim ●

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW":

★ **WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI** — Koniec literackiej prowincji?

★ **ADAM OCHOCKI** — Dalszy ciąg nastąpi...

★ **Historia polskiego proletariatu** — rozmowa z prof. dr Stanisławem Kalabińskim.

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

Miasto które zadziwia

Dalszy ciąg ze str. 1

takie jak fabryka cegieł Goldmanna, fabryka świec Lichtablaua, fabryka koronek Piltzera, cykorii Witmayera i fabryka szkła nie wiem czyja.

W nowych zakładach wyrosła wkrótce liczna kadra doskonałych fachowców. Nie minęło jednak dziesięć lat od chwili uruchomienia zakładów, gdy wybuchła wojna, a z nią katastrofa narodowa. Hitlerowcy rozpoczęli dewastację kombinatu, poczynając od ludzi a na grabieży maszyn kończąc. Robotnicy tarnowscy skrupulatnie notowali wszelkie adresy, dokąd udawały się pociągi z zagrabioną aparaturą tak, że po wyzwoleniu nie było większych kłopotów z odszukaniem i odzyskaniem. Przezorność godna najwyższego uznania. Po wojnie w krótkim czasie fabrykę odbudowano, równocześnie rozbudowano i zwiększono produkcję. O rozmiarach rozbudowy niech świadczy fakt, że dziś pracuje tam prawie 15.000 osób, przed wojną pracowało 2.500.

Znam puławskie Azoty i płocką Petrochemię, Tarnów im nie ustępuje. Produkuje 130 rodzajów artykułów o nazwach, które wiele znaczą, ale przeciętnemu człowiekowi niewiele mówią. Oprócz nawozów sztucznych są to przeważnie półprodukty, służące do wyrobu syntetycznych włókien. Korzysta z nich między innymi również łódzka Anilana. Ostatnio Zakłady przystąpiły do produkcji sztucznej skóry, która niebawem pojawi się na rynku. Mowa tu o nowym gatunku skayu, wyrabianym na licencji japońskiej, uszlachetnionym i do złudzenia przypominającym prawdziwą skórę. Cały proces produkcyjny jest zautomatyzowany. Hala mieszcząca aparaturę pomiarową, skąd kieruje się i obserwuje przebieg produkcji, jest mniej więcej wielkości naszego kina „Bałtyk". Niewielu jest też specjalistów, umiejących się w tym rozeznać. Co najciekawsze, nawet specjaliści pewnej włoskiej firmy, od której część tej aparatury zakupiono, nie potrafili tego skomplikowanego urządzenia uruchomić i wyjechali z Tarnowa jak niepyszni. W końcu do rzeczy zabrali się nasi inżynierowie i wygrali. Jak już wspomniałem wytwarza się tu produkty organiczne o bardzo oryginalnych nazwach jak: akrylonitryl, metakryl, a w szczególności dużo kaprolaktanu — tworzywa, z którego produkuje się sztuczne włókno. Rzecz polega na tym, że wszystkie zakłady chemiczne im nowocześniejsze wytwarzają składniki, tym bardziej trujące wypuszczają ścieki. Wszystkie z wyjątkiem Tarnowa, gdzie zbudowano organiczną oczyszczalnię. Polega ona na tym, że zanim trujące ścieki odprowadzi się do rzeki, przepompowuje się je przez specjalne baseny, a tam czyhają już na nie miliony wygłodniałych bakterii o wyjątkowo niewybrednych upodobaniach. Żerają one najbardziej trujące cząstki i w ten sposób oczyszczają mętny płyn. Miałem możność obejrzeć ten proces, przyznaję fiołkami tam nie pachnie, lecz efekt jest doskonały. Koszta też, oczyszczenie jednego metra sześciennego ścieku wynosi 2 zł, budowa całego urządzenia — 36 milionów zł. Zakład zamierza budować dalsze kolektory. Trzeba będzie wybudować więc nowe baseny z bakteriami o innych z kolei apetytach. Trudność na tym polega, że każdy gatunek bakterii lubi inny rodzaj ścieków. Myślę, że nie ma jednak takiej ceny, której nie można by zapłacić za czystość wód i powietrza.

Ponad 100-tysięczny Tarnów jest miastem, które może najbardziej sceptycznego przybysza niejedną rzeczą zadziwić. Zwiedziłem nowy zakład pracy chronionej, przeznaczony dla inwalidów i osób przewlekle chorych. Jest on o tyle oryginalny, że wszystko tam zostało zaprojektowane z myślą o wygodzie pracownika. Produkcję podporządkowano człowiekowi a nie człowieka produkcji. Ideałem inżynierów jest zbudować taki zakład, który by człowieka kompletnie z niego wyeliminował, żeby się człowiek po nim nie szwendał, nie przeszkadzał, nie brudził i nie zajmował przestrzeni koniecznej dla robotów. W Tarnowie umyślili sobie zbudować zakład z wodotryskiem, z wiatrakiem i z akwarium, ażeby pracownicy czuli się w nim jak na wycieczce. Nie przesadzam, zakład ma trzy hale produkcyjne i każda z nich posiada salon rekreacyjny czyli relaksowy. Pracownicy szyjący odzież będą posiadali duży, wykwintny salon z autentycznym wiatrakiem polskim, poruszającym w dodatku skrzydłami. To nie żarty. Pracownicy działu papierniczego będą posiadali salon z ogromnym akwarium, a pracownicy koszykarskiego — solarium. Robotnik znużony pracą będzie mógł w każdej chwili opuścić swe stanowisko i pójść popatrzeć jak pląsają rybki lub jak skrzypi wiatrak na tle sielskiego krajobrazu.

Ale nie tylko tym Tarnów mnie oczarował. Jest to wzór miasta, w którym można nie tylko mieszkać i pracować lecz przy okazji żyć. Wśród szeregu teorii na temat optymalnej wielkości miast istnieje i taka, że najwygodniejsze są właśnie miasta 100-tysięczne. Tarnów w dużym stopniu to potwierdza. Stać go na własny teatr, posiada dostateczną ilość kin oraz mnóstwo boisk, w tym aż 25 boisk piłki siatkowej, 6 — piłki koszykowej, 4 — piłki nożnej, 3 stadiony, 2 strzelnice, kręgielnię, 11 sal gimnastycznych, 3 baseny otwarte i jeden kryty, najpiękniejszy w Polsce. Drugi — jeszcze wspanialszy — będzie się mieścił w wznoszonym właśnie obiekcie, który będzie skrzyżowaniem Domu Sportowego z Domem Kultury. Tarnowianie jeśli coś robią, to lubią to robić dobrze, najlepiej. O tym, że tutejsze zakłady mięsne wyrabiają najsmaczniejsze wędliny w Polsce, nie wypada pisać człowiekowi pochodzącemu z kraju łódzkiej serwolatki. Poza tym produkuje się w Tarnowie również pralki, szkło gospodarcze i kopyta do butów.

Miasto jest ładne, stare, liczy sobie prawie tysiąc lat i podobnie jak Łódź posiada jedną główną arterię — jest nią ulica Krakowska. Skupiają się na niej największe sklepy, restauracje i kawiarnie. Identycznie jak w Łodzi jeździły nią kiedyś tramwaje, teraz kursują autobusy. Uwagę przybysza zwracają nowe domy, świadcząc o tym, że Tarnów nie pozostaje w tyle za innymi miastami w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego. Ma Tarnów też swoją Starówkę, zresztą bardzo ładną, renesansową, z ratuszem, chyba najładniejszym w Polsce. Twórca attyki ratusza był architekt włoski Jan Maria Padovano. Ten sam, którego dziełem jest attyka krakowskich Sukiennic. W katedrze, dość niestylowej, urzekł mnie swym pięknem sarkofag hetmana Jana Tarnowskiego, również dzieło mistrza Padovano z lat 1561—73. Drugiego takiego w Polsce nie ma, chyba na Wawelu. Tarnów był setki lat prywatnym miastem najpierw Tarnowskich, później Ostrogskich, Lubomirskich, Radziwiłłów, Koniecpolskich, Walewskich i Sanguszków. Ostatni z Sanguszków, właściciel tak zwanego klucza dóbr okolicznych, zmarł bezpotomnie zaraz po pierwszej wojnie światowej. Jego dobra przeszły na własność rządu, m. in. dzięki temu zlokalizowano tutaj budowę fabryki azotów. Ale oto pewnego dnia pojawił się samozwańczy pretendent do sukcesji po ostatnim z Sanguszków, podając się za rzekomego syna księcia z niezbyt prawego łoża. Proces trwał aż do wybuchu drugiej wojny. Po wojnie do terenów, na których znajdują się Zakłady Azotowe im. Feliksa Dzierżyńskiego pretensji już nikt nie rościł.

Tarnowianie chlubią się również swoimi bohaterami narodowymi. Tutaj urodził się przecież generał Józef Bem i stąd wywodził się major Henryk Sucharski — dowódca bohaterskich obrońców Westerplatte. Świerczków — teren na którym znajduje się dziś wielki kombinat — był niegdyś własnością rodziców Kornela Ujejskiego.

KAROL BADZIAK

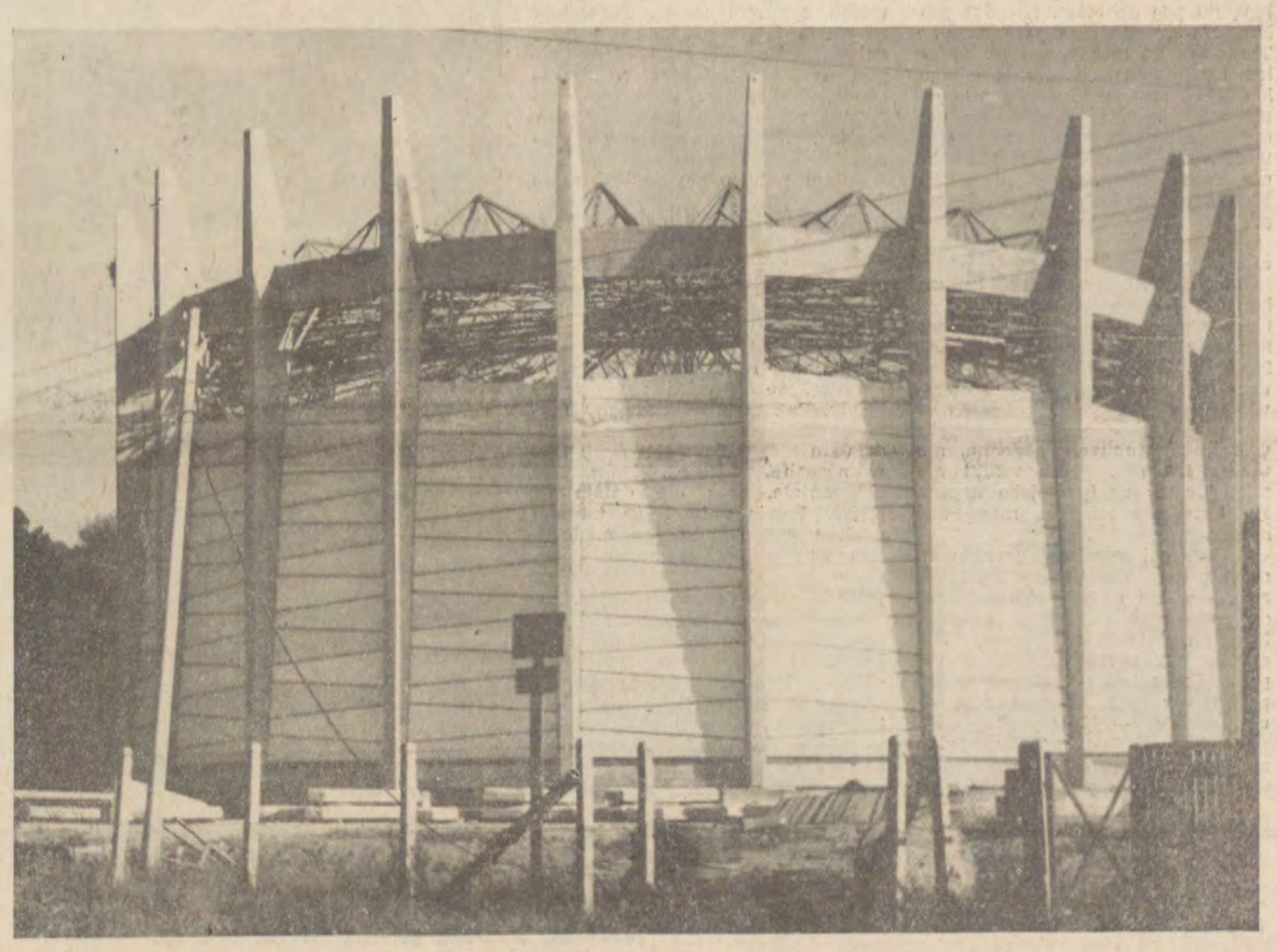

Fot. T. Drankowski

Z książkami

STOLICE ŚWIATA

Ukazała się książka, która z pewnością zaspokoi ciekawość niejednego czytelnika. Mam na myśli „Przewodnik po stolicach świata", który równie dobrze mógłby się nazywać „Od Amsterdamu do Wellingtonu". Bogato ilustrowana książka obejmuje życiorysy 33 stolic Europy, 33 stolic Azji, 39 stolic Afryki, 24 stolic Ameryki Północnej i Południowej oraz 4 stolic Australii i Oceanii. Ciekawe informacje o stolicach niepodległych państw świata ułożone zostały wedle następującego schematu: informacja ogólna, położenie geograficzne, wiadomości historyczne, wreszcie dane o gospodarce, kulturze, oświacie itp.

„Przewodnik po stolicach świata" jest przekładem z rosyjskiego, ale zawiera także pewne uzupełnienia i opracowany został pod kątem zainteresowań i potrzeb czytelnika polskiego. Książkę przetłumaczyli Józef Barbag i Joachim Koczy, a projekt obwoluty i okładki wykonał Tadeusz Gonciarek.

Czytanie tej książki, robienie porównań, wyszukiwanie różnic i podobieństw między metropoliami świata jest zajęciem niezwykle pouczającym. Jakie w tym zespole stolic zajmuje miejsce Warszawa? A no — zajrzyjcie do „Przewodnika" i przekonajcie się sami.

JK.

Przewodnik po stolicach świata, Wyd. Iskry, Warszawa 1970, str. 439, cena zł 56.—

HITLEROWSKIE WYSIEDLENIA

Chodzi o wysiedlenia Polaków z przedwojennych województw białostockiego, kieleckiego, krakowskiego, łódzkiego i warszawskiego, a więc z terytoriów, które na mocy dekretu Hitlera z 8 października 1939 roku zostały wcielone do Rzeszy. Waga problemu nie podlega dyskusji, a że był on dotąd omówiony jedynie cząstkowo (J. Sobczak, J. Sziling, Cz. Madajczyk, J. Stoch i inn.), nie trzeba podkreślać. Że W. Jastrzębski podjął się pracy niezmiernie pożytecznej. Wysiedlanie Polaków stanowiło ważny element ogólnej polityki eksterminacyjnej w stosunku do narodu. Trudno określić liczbę wysiedlonych. Z tzw. Kraju Warty było ich ponad 700 tysięcy, czyli 1/5 ogółu mieszkańców. Ilość wysiedlonych z obszaru Gdańsk — Prusy Zachodnie można szacować na około 170 tys., trudniej obliczyć wysiedlenia z innych terenów. Autor szacuje ogólną liczbę wysiedlonych na 985 tysięcy osób, co stanowi 1/9 ogółu Polaków i Żydów, mieszkających na tych obszarach w przededniu wojny. Liczba ta — aczkolwiek przybliżona — świadczy dobitnie o rozmiarach tej formy hitlerowskiej polityki eksterminacyjnej.

J. G.

Włodzimierz Jastrzębski, „Hitlerowskie wysiedlenia z ziem polskich wcielonych do Rzeszy 1953—1945". Poznań, Instytut Zachodni 1968 (ukazało się 1969), stron 141, cena 25 zł.

SKĄD SZEKSPIR CZERPAŁ POMYSŁY

W gustownie wydanym przez Państwowy Instytut Wydawniczy zbiorze dawnych nowel włoskich, ozdobionym reprodukcjami miniatur z wieku XIII, XIV i XV jest „Historia niedawno odkryta o dwojgu szlachetnych oblubieńców..." napisana przez Luigi Da Porto. Jest to historia miłości Julii Cappulletti i Romea Montecchi tragicznie zakończona śmiercią obojga kochanków. Jest to ta sama historia, którą później opowiedział William Szekspir, na utwór sceniczny ją przerobiwszy. W zbiorze tym jest i inna opowieść o Maurze i Desdemonie, której powszechną znajomość zawdzięczamy Szekspirowi.

Nowela pojawiła się — jak pisze we wstępie Mieczysław Brahmer — gdzieś w połowie XIII wieku właśnie we Włoszech i wówczas znaczyła nowinę, relację o czymś nadzwyczajnym. Nowele pisali Giovanni Boccaccio i Leonardo da Vinci. Życie w renesansowych Włoszech toczyło się bujnie. Zapisywano więc facecje, anegdoty, powiastki i curiosa. Notowano ludzkie dramaty i śmieszności. Wybór dawnej noweli włoskiej daje tego pełny obraz, a jednocześnie jest znakomitą kroniką życia w renesansowych Włoszech.

Była to jednocześnie swoista moralistyka, nauka życia. Włoscy noweliści notowali anegdoty i historie nie tylko ku uciesze przyszłego czytelnika, ale i dla pożytku, jaki z tego mógł by wynieść. Ośmieszali głupotę, pokazywali, jak można fortelem, rozumem inteligencją wyjść z życiowych kłopotów, zdemaskować oszusta, uratować honor i cześć.

Wybór dawnej noweli włoskiej współczesny czytelnik zawdzięcza Jadwidze Gałuszko, która też wspólnie z Edwardem Boye dokonała przekładu, wykorzystując też przekłady dokonane kiedyś przez Leopolda Staffa.

A wracając do pomysłów to z dawnej noweli włoskiej niezależnie od Szekspira czerpali je również Schiller, Mickiewicz i Musset. Czytelnik znajdzie tu dla siebie wiele rzeczy interesujących, zabawnych i pouczających, tak, jak tego chcieli dawni autorzy, a zasługą ich jest to, że dziś dawne nowele czyta się z nie mniejszym zainteresowaniem.

B. M.

„Dawna Nowela Włoska", Wyboru dokonała Jadwiga Gałuszko. PIW, Warszawa 1969 r. str 332, cena 35 zł.

RYSZARD BINKOWSKI

Deptanka

SIEDZIAŁ skulony przy ścieżce wiodącej do osady. Właśnie go mijałem, gdy zaczął się wić. Zesztywniał. Zsuwał się w kłąb kolaczastych jeżyn. Krzyczał, niemal wył. Przytrzymując dłonią brodę, z trudem rozwierał szczęki. Kiedy pochyliłem się nad nim, wycharczał: — Magnes, w kieszeni...

Z poszarpanej kieszeni jego czarnych, zachlapanych spodni wyjąłem błyszczącą podkówkę i wsunąłem w rozcapierzone, drżące palce lewej ręki. Przytomniał. Jaśniała, rozszerzała się siateczka zmarszczek w brązowej twarzy. I parowała mgła z jego małych oczek. Czułem zapalny, buzujący samogonem chuch.

— Niech Bóg zdrowie da, dzięki — powiedział. — Co? Tak, często mnie tak bierze. Kiedy broda zesztywnieje i ścierpnie, to już wiem... Magnes mnie ratuje... Ale prawą ręką trzymam brodę, a lewa wybrakowana. Nie sięgnę po magnes. Ja cieśla, przy ciesiółce łapę mi pogruchotało. Niegdyś grałem. Na mandoli, na skrzypkach... Teraz ani do roboty, ani do muzyki... I piję. Jak za swoje, to gówno komu do tego, nie? A na prochy nie jadę. Zawsze mówię, że nie mam na antabus. Mam zresztą w rodzinie lekarza, który gada, że nie mogę tankowania przerwać, bo z mety do Abrahamka jadę na piwko.

— Trzeba było w ogóle nie zaczynać — powiedziałem.

Zakrzusił się dymem, rzekł przez łzy: — Wszystko przez wojnę i przez tę cholerną łapę... Ojca zabili, mnie wywieźli do kopalni. Zwiałem na buforach. Ale i tak chapnęli na trzy miechy do Sikawy. I potem zacząłem pociągać jagodówkę na kościach. Dobra, w trzech gatunkach: błękitna, nie bieska i bordo. Teraz wódki nie piję. Piwko aby i swojską deptankę. Pomogłeś mi pan, mogę dać spróbować.

Z kieszeni pomiętej granatowej marynarki wyciągnął ćwiartkę z brunatnym płynem. Wlał trochę do plastikowej setki, opłukał. Napełnił połowę szklaneczki. Poczułem ten charakterystyczny zapach. Połknąłem. — Myślałem, żeś pan nie z tych, co toto piją — ucieszył się. — No i jak?

— Niezła. Jak koniak, tylko ostrzejsza. Już to piłem parę razy.

— Bo niektórzy paprzą. Karbid dają dla mocy. Ale jak przyprawi z cukrem palonym i wanilią, to ho, ho! Ale dobra, skądeś pan wytrzasnął taki napitek?

— Wieczorem ręka w czarnej rękawiczce wsunęła się przez lufcik, postawiła półbas na parapecie.

— Tak samo jak u mnie — zaśmiał się. — Oj, nie takiś pan głupi! — cmoknął.

— Ale jak to robią, to nie wiem — powiedziałem.

— Pokazałbym tu, w lesie, ale możesz się pan gdzieś wygadać... I chociaż milicja nie doszłaby właściciela, to urządzenia poszłyby na zatratę. Bo tam siedzi babka w ośmiu krzyżach na grzbiecie. Takiej nie ukrzywdzą... Ale mogę coś niecoś powiedzieć, ino postaw pan piwko.

Zgodziłem się i ruszyliśmy do osady. W drodze opowiadał: — Ja nie taki zwyczajny gazer. Ja w 45 radzieckie czołgi doprowadziłem stąd aż do Sieradza. Czarnooką Katię wtedy poznałem. Wielka była miłość, a w domu trzech synów i żona... Tęskniłem za Katią i piłem... A moja żona dobra... Cztery litry gorzały kupiła na moje imieniny, na Stanisława. Spiłem się. Rano idę do kobity po zsiadłe mleko, a ona zimna... W nocy umarła, na serce...

Potem pojechałem do Wilna, do Katii, która wcześniej owdowiała. Ale ona już nie chciała pijaka. Bo kiedy poszła do roboty, to za jej rubelki tak się strułem, że mnie wileńska milicja przymknęła.

Nadął się i wraz ze śliną brązową wypluł skwierczącego peta ze szklanej lufki. — Co ja panie, poradzę, że w mym życiu same brudy. Raz zwalili kradziony materiał na moim podwórku i siedziałem za złodziejów. Potem w nerach kamienie... Doktorowa ochrzaniała, lecz nie dałem się rżnąć. Powiedziałem, że kamory upchnę własnym sposobem. I piłem wywar z kartoflanych łupin, ciętej sieczki owsianej i czegoś jeszcze... Kamyki poschodziły.

Weszliśmy do gospody.

— Stasiu, zlewki już gotowe! — krzyknął chłopak w wyleniałej skórce. Mój rozmówca splunął w jego stronę. — Rękę mam wybrakowaną, toś cwaniul — syknął. — Nie wierz pan, że ja te zlewki... — szepnął. — Ja mam forsę. Ojciec pod kapliczką zakopał. Ale ja katolik i świętego miejsca nie rozwalę. Chciałem kiedyś cyganów nająć do wykopania, ale mogliby łeb urżnąć i złoto ukraść, nie?

Bufetowa kichnęła. — Na zdrowie, Jadziunia! — krzyknął. Pstrykał palcami i tanecznym krokiem ruszył do bufetu po dwa piwa. Rozweselił się, skrawki wyblakłego nieba wrześniowego pojaśniały w jego oczach. Wypił duszkiem połowę kufla. — A deptankę — zaczął — najczęściej gotują w lesie. W krzakach, w polu też. Smrodu nie czuć, można łatwiej zwiać, graty zostawić i nikt nie udowodni własności. Najlepszy głęboki dołek. Parę kamieni lub cegieł na dno i palenisko gotowe. A na palenisku parnik ze szczelnym wiekiem, z którego wystaje rurka oblepiona chlebem, kitem. Obok beczka z wodą,

a w niej część chłodnicy samochodowej lub traktorowej. I już się gotuje, już się skrapla płynik bezbarwny i kap, kap do garnka. A zacier? Osobno się robi. Jak? No, zależy z czego i ile. Na przykład z trzech kila cukru i pół paczki drożdży można zrobić ze trzydzieści litrów zacieru.

— Można ładny grosz zarobić na tym interesie — zauważyłem.

— No! Litr deptanki 60 złotych, a spirytus można dostać za 90. Ludzie wolą spirytus, bo dwa litry wódki z litra wychodzą. Niektórzy za samogonik szklarnie postawili. Ale nikt nikogo nie wyda. To nam jeszcze z wojny zostało... Ten nawyk i konspiracja.

Stasio skoczył po dwa małe piwka. Czyniłem sobie wyrzuty, że pogrążam go w tej nieszczęsnej chorobie. Ale co ja poradzę, on się sam domaga. A ludzie będą pić nadal. Mimo spotkań z milicją i ławnikami na wiejskich zebraniach, mimo gróźb, ostrzeżeń, perswazji i kar. I w tej historii nie wojna podtrzymuje nałóg, bo wojna bardzo dawno skończyła się. Zresztą inne są tłumaczenia oskarżonych o pędzeniu bimbru. Tymi oskarżonymi są najczęściej ludzie starzy, schorowani, zniedołężniali. Bo kto chce być profesjonałem gorzelnianym, ten zna ustawę z 22 kwietnia 1959 roku „O zwalczaniu niedozwolonego wyrobu spirytusu". Za pierwsze nakrycie — 5 tys. grzywny i rok zawieszki. Ale ludzie w dziesiątkach wsi dążą do drugiego wyroku — 30 tys. grzywny i dwa lata więzienia. Znać, że się opłaca. Babki i dziadkowie sterczą przy bimbrowniach, aby wzbudzić litość sądu.

Stasio wrócił z piwami. Mówił coraz płynniej, giął się wężowato. Bałem się, że znów chwyci go padaczka.

— Ludzie żyją z bimbru — powiedział — ale są i tacy, którzy pędzą go na własny użytek. Na żniwa, młockę, kopania, na chrzciny, pogrzeby i śluby.

— Albo się tak tłumaczą — przerwałem. — Znam to z zeznań u prokuratora.

— Co ja naknociłem! — przestraszył się.

— Nie, panie Stasiu. Nie drygaj pan. Ale niech pan słucha. Starsza babcia zeznaje u prokuratora, że trzymała w oborze (!) 30 litrów zacieru, gdyż znachor polecił jej bimber na smarowanie przeciwko reumatyzmowi. Inny rolnik (kawaler) zeznaje, że chłodnicę śmierdzącą samogonem znalazł nad rzeką. Wkopane za ustępem dwie bańki z zacierem i miedziane rurki pachnące drożdżami podrzucił mu ktoś w nocy, kiedy był u panny w innej wsi. I panna najadła się wstydu przed całą parafią, ale tak zeznała. Jeszcze inny miał pełniuśką beczkę zacieru. Tłumaczy, że teściowa dogorywa na raka, więc on ten samogon szykował na stypę.

— Udowodnić trudno — mruknął Stasio. — Jest sztama. Chyba, że się ktoś z kim połupie o miedzę. Ale i wtedy niewiele powie. Bo za kupowanie bimbru też kara. Chuch zdradza. Strach nawet kupować. Znajdą głupią ćwiartkę i już brudas grzywny leci. Jakby wypić nie było wolno. Dlatego mi pan o tej czarnej ręce zasunął — uśmiechnął się i mrugnął już przekrwionym okiem.

Gdybym mu wyjaśnił, że w mojej rodzinnej wsi samogonu nie pędzą, nie uwierzyłby. A to prawda, gdyż moja wieś bliziutko miasta, bezleśna, niebezpiecznie... Barleycorn deptany rodzi się w dalszych, lesistych okolicach. W krzakach, przy księżycu. Stąd i jego nazwa: księżycówa, krzakówka. Giną dawne synonimy: bimber, samogon, stodołówa, deptanka.

A z tych dalszych okolic jedzie swojski alkohol w bańkach, kanistrach, butelkach do miast, do wielkiego miasta. Do rodziny, na budowę, do fabryk.

I jeśli już trafi do mojej wsi, to jest mu po drodze. Przyniesie go do nas leśny Al Capone. Kto on? Bóg wie. Przyjdzie taki do wsi pod miastem, pod gruszą polną postawi bańkę, a forsę każe sobie położyć pod kamień. I znika. Duch, mara...

JERZY URBANKIEWICZ

Szkoci i my

Gdyby ktoś chciał poznać charakter Szkotów, nie radziłbym ufać opinii Anglików. Uważają oni bowiem swoich północnych sąsiadów a zarazem współobywateli za coś nieco gorszego i wygłaszają o nich nie najlepsze opinie, zwłaszcza czyniąc ich bohaterami pewnego typu dowcipów. Rzekome skąpstwo Szkotów cały świat przyjął jako ich podstawową cechę narodową, chociaż — kto wie, czy daleko posunięta skrzętność, zapobiegliwość nie charakteryzuje Anglików w większym jeszcze stopniu. Osobiście zetknąłem się z szerokim gestem ze strony Szkotów i serdecznością, a więc cechami dalekimi od tego, co uporczywie głoszą Anglicy w swoich dowcipach. Na przykład. Umarł Szkot i zgłosił się do nieba. Zdumiony św. Piotr pyta go, jakie to cnoty przywiodły go pod raj skie wrota. „Postawiłem raz piwo koledze — wyjaśnia Szkot i zapłaciłem za nie całego szylinga". „Poczekaj, sprawdzimy" — powiedział św. Piotr i poszedł do niebieskiej kancelarii. Wrócił po chwili i powiedział: „Tak, to prawda. Ale masz tu swojego szylinga z powrotem, bo nie będziemy dla jednego gotowali poridżu". (Poridge — to owsianka, narodowa potrawa Szkotów).

Dowcip bardziej współczesny, wymyślony również przez Anglików mówi o tym, jak to Szkot kupował lodówkę. „A jak ja mogę sprawdzić — zapytał sprzedawcę — że kiedy zamknę drzwi od lodówki, to rzeczywiście zgaśnie światło?".

Trzeba przyznać, że Szkoci odpłacają pięknym za nadobne, kiedy się tylko nadarzy okazja. Na przykład na przedstawieniu znanego musicalu „Włosy", które oglądałem w Glasgow, jeden z aktorów występował w majtkach kąpielowych, ozdobionych flagą angielską w tych częściach majtek, które okrywają najbardziej wstydliwe — o ile w ogóle można dziś o takich mówić — części ciała.

A oto anegdota oparta podobno o wydarzenie autentyczne, która eksponuje inną cechę Szkotów, mianowicie ich hołdowanie przesądom. W czasie wojny spadła bomba na ulicę szkockiego miasteczka i nie wybuchła. Otoczono ją workami z piaskiem i wezwano saperów. Ci zbudowali w pobliżu bunkier, ustawili radiostację i przygotowali się do ostrożnego działania. Ale w nocy bomba znikła. Stary Szkot zapytany, co się mogło z nią stać, odpowiedział: „Widocznie zabrał ją diabeł". A po namyśle dodał: „A jeśli nie diabeł, to chyba — Polacy". Istotnie, bombę wywiózł na taczce polski kapral, bo leżała obok domu jego ukochanej. A dom miał dostać w posagu.

W ten sposób szkockie anegdoty przywiodły nas wprost do ostatniego rozdziału historii stosunków szkocko-polskich, a historia to bardzo długa i dla obu stron sympatyczna.

Nieprzypadkowo wprowadził Sienkiewicz do trylogii postać Ketlinga. W wieku XV, XVI a nawet jeszcze XVII wieku Szkotów przyjeżdżało do Polski, by tu szukać szczęścia, o które trudno było we własnej ojczyźnie. Szkocja była w owych czasach krajem biednym. Podobno narodowy strój szkocki, w skład którego wchodzą: spódniczka i wąski płaszcz zwisający z jednego ramienia — stąd się wziął, że cały majątek biednego górala stanowił wełniany koc. Rozdarty wzdłuż na dwie części pozwalał na okrycie bioder i pleców. Jeżeli jest to prawdziwa historia stroju szkockiego, to tkwi też w niej wyjaśnienie groteskowego dylematu, czy Szkot nosi jakąś bieliznę pod spódniczką, czy nie.

A więc bieda oraz dość skomplikowane stosunki polityczne i religijne powodowały, że Szkoci emigrowali. W Anglii nie mieli czego szukać, w Niemczech i Prusach nie byli zbyt lubiani, szli więc do innych krajów, między nimi — do Polski. Według pewnych źródeł na przełomie XVI i XVII wieku żyło w Polsce 30 tysięcy rodzin szkockich, co przecież stanowiło liczbę pokaźną. Wielu z nich służyło w wojsku najemnym, a królowie polscy chętnie korzystali z ich usług, dla ich lojalności i męstwa. Kronikarz zanotował, że w czasie bitwy polsko - rosyjskiej pod Czudnem w roku 1660 walczący po stronie polskiej Lord Henry Gordon wziął do niewoli innego Szkota, walczącego pod sztandarami rosyjskimi, mianowicie pułkownika Thomasa Menzies. Takich wypadków było więcej.

Służba w oddziałach zaciężnych to niejedyne zajęcie emigrantów szkockich. Przodkowie nasi sami dość chętnie dobywali szabli, czuli natomiast awersję do handlu. Tę ich słabość wykorzystali Szkoci tak dalece, że w czasach owych powstało słowo „szot", będące polskim synonimem domokrążcy. Spotykało się też wśród nich wielu osiadłych kupców i rzemieślników. Dostawcami dworu Stefana Batorego byli wyłącznie Szkoci, a z zadań wywiązywali się tak dobrze i uczciwie, że im król przywilejem zapewnił to zajęcie na zawsze.

Dziwną więc byłoby rzeczą, gdyby w tak dużej społeczności nie znalazły się jednostki wybitne, których nazwiska warto by odświeżyć w pamięci Polaków.

A więc w roku 1703 zmarł Alexander Chalmers, prezydent Warszawy, wybierany na to stanowisko czterokrotnie. Widocznie dobrze się zasłużył stolicy, jeśli go wybierano tyle razy. Kanclerzem Stanisława Augusta był John Stuart. Nie porzucił on przybranej ojczyzny w jej najcięższych chwilach. Uczestniczył w Insurekcji Kościuszkowskiej, w legionach Dąbrowskiego, w kampanii 1812 roku i w polskich barwach pod Lipskiem. W XVII wieku żył w Polsce znakomity lekarz, John Johnson, Szkot, rodem z Szamotuł, autor wielu prac naukowych. W Zamościu wykładał Matthew Valentine Tepper. Robert Abercrombie uczył w Braniewie, gdzie studiowało mnóstwo szkockiej młodzieży.

Z drugiej strony — wielu z tych Szkotów, którzy nie opuścili własnej ojczyzny, dawało wyraz swojej sympatii dla Polski. A więc John Lind, profesor z Edynburga opublikował po pierwszym rozbiorze „Listy dotyczące obecnej sytuacji w Polsce". W listach tych atakował zaborców. Po-

I ludzie wypiją. Bo dziś mają więcej grosza na wódkę, albowiem ten grosz ciągnie się nie tylko ze spłachetka poojcowej ziemi. Dobrze to, czy źle? Bo ja wiem?... Wszyscy wiedzą natomiast i mówią, że mnożą się u nas w tysiące mali, leśni Al Capone. Trudni do wykrycia, bo strzega ich rzesze konsumentów deptanki.

— Tydzień temu — mówi Stasio — zaraz za osadą, auto rozwaliło chłopa z tamtej wsi za lasem. Rower w drzazgach, a chłop trup na miejscu. Kiedy się sanitariusze nad nim pochylili, wykrzywiło im gęby. Tak od niego jechało deptanką...

* ✲ *

A więc już nie tyko monopolówka państwowa staje się główną przyczyną wypadków drogowych. Zawieziona przez chłoporobotników na budowy i do fabryk deptanka, konsumowana na miejscu, również rodzi nieszczęścia. Niedawno „Głos Robotniczy" doniósł, iż w powiecie brzezińskim dwóch pijanych chuliganów zamordowało starca, pokątnego handlarza wódki, który nie chciał im sprzedać pół litra. Według opinii trzeźwego społeczeństwa i organów ścigania konieczność walki z nielegalną produkcją spirytusu nie wynika jedynie z wyżej podanych faktów ani też, jak niektórzy powiadają, z rosnacej konkurencji dla państwowego monopolu. Wszak sumy wydawane na kupno legalnej wódki grubo przekraczają roczne podatki rolników, a w niektórych powiatach wynoszą one ponad 1.000 zł na łebek, wliczając w to starców i niemowlaki. Dodając kwoty wydawane na bimber, otrzymamy wynik budzący niepokój i groźne ostrzeżenie. A samogon można kupić o każdej porze dnia i nocy. Stąd też mnogość rodzinnych tragedii, bijatyk na zabawach, a dalej — wysokich wyroków, separacji od społeczeństwa.

Przechwytywanie bimbru u przewożących go, przypadkowe znajdowanie podczas rewizji, kiedy milicja szuka skradzionych rzeczy, czy też trafianie „na chuch" w wypadku legitymowania pijanych, nie daje wielkich wyników. Nawet działalność profilaktyczna, uświadamiająca, prowadzona przez przedstawicieli sądów i prokuratury ma praktycznie tylko moralne znaczenie.

Wydaje się jednak, że natrafiono wreszcie na jeden ze sposobów właściwych. Ostatnio milicja zaczęła przekazywać zakwestionowany, pędzony nielegalnie spirytus do zakładu tresury psów milicyjnych, szkolonych w poszukiwaniu samogonu.

RYSZARD BINKOWSKI

Kopernik w Rzymie

Dalszy ciąg ze str. 1

mu rozszerzenie zakresu zbiorów na eksponaty z nauk pomocniczych astronomii i dzieła ogólne z historii i literatury polskiej.

Nie mogąc podołać trudnościom finansowym Wołyński postanowił przekazać zbiory Uniwersytetowi Rzymskiemu. 18 lutego 1877 „Gazzetta Ufficiale del Regno d'Italia ogłosiła dekret ustanawiający muzeum Kopernika i podała skład Komisji Muzealnej pod przewodnictwem rektora Uniwersytetu Rzymskiego, mianowanej przez Ministerstwo Oświecenia Publicznego. Komisja zadecydowała, że muzeum należy połączyć z Obserwatorium Astronomicznym w Kolegium Rzymskim i nie ograniczać akcji zbiorów do cimeliów kopernikowskich, lecz rozszerzyć ją także na astronomię włoską.

W dwa lata po ogłoszeniu dekretu zbiory kopernikowskie przewieziono do Rzymu i pomieszczono czasowo w dwóch salach Ministerstwa Finansów.

W marcu i kwietniu 1879 roku Wołyński urządził wystawę. Zwiedzili ją przedstawiciele rządu i parlamentu, uczeni, dziennikarze. Miała wielkie powodzenie. Także w prasie włoskiej. Wołyński został przyjęty przez króla. Sprawa muzeum stała się przedmiotem zainteresowania najwyższych władz. Król obiecał poparcie finansowe rządu. Na czerwiec tego roku planowano oficjalną inaugurację.

Mieszkańcy Warszawy ufundowali na tę uroczystość złoty medal wagi 200 g. z popiersiem Kopernika, wokół którego wyryto słowa: „Nicolaus Copernicus, Astronomus Polonus". Poza tym wybito 7 srebrnych medali, 130 brązowych i 50 cynowych. Postanowiono rozesłać je w darze wielu instytucjom naukowym świata. Wołyński wydrukował pracę o medalach Kopernika, zostały też wydane w stu egzemplarzach autografy Kopernika.

W kraju zapanował entuzjazm. Pojawiło się wiele artykułów w czasopismach. Polacy czekali na uroczystą inaugurację. A tymczasem zbierano składki, urządzano prelekcje o Koperniku, pisano entuzjastyczne wiersze.

Lecz inauguracja nie mogła się odbyć, gdyż stały lokal dla muzeum w Kolegium Rzymskim ciągle nie był przygotowany. Komisja Kopernikowska wykazywała mało energii. Wreszcie po wielu zabiegach Wołyński uzyskał od ministra oświecenia publicznego 12.000 lirów na odnowienie lokalu w Kolegium Rzymskim. W trzy lata później Wołyński otrzymał nominację na dyrektora muzeum. Zbiory przewieziono wreszcie do stałego pomieszczenia: ośmiu sal w Kolegium Rzymskim. W zbiorach było ponad 500 dzieł i broszur kopernikowskich (w tym pierwsze wydania „De revolutionibus orbium coelestium"), przyrządy astronomiczne, medale, monety, rzeźby, obrazy.

W roku 1886 miała się odbyć zapowiadana wielokrotnie inauguracja. Ale z powodu niewykończenia prac wewnętrznych znowu ją odroczono. W kwietniu 1893 roku umarł Wołyński.

Po jego śmierci zbiory kopernikowskie uległy przemieszaniu ze zbiorami innego pochodzenia na skutek zmian organizacyjnych i dalszych wędrówek po lokalach zastępczych. Dopiero w roku 1933 przewiezione zostały do stałego, wyrestaurowanego lokalu na Monte Mario. W pięć lat później 28 października odbyła się tu inauguracja lecz bez pełnej blasku świetności, o jakiej marzył Wołyński. Na uroczystości był obecny minister oświecenia publicznego i polski ambasador.

Przy wejściu do Muzeum Astronomicznego na Monte Mario w Rzymie znajduje się następująca tabliczka informacyjna: „Muzeum Astronomiczne i Kopernikowskie utworzone z cimeliów Królewskiego Obserwatorium Rzymu i dawnych obserwatoriów rzymskich oraz z pamiątek dotyczących Mikołaja Kopernika darowanych przez Artura Wołyńskiego. Dostępne jest dla publiczności w poniedziałki, środy i piątki... za zezwoleniem Dyrektora".

W hallu jest wiele rzeźb i obrazów przedstawiających Kopernika. Naprzeciw wejścia, we wgłębieniu ściany znajduje się marmurowe popiersie astronoma wyżej opisane. Na piedestale są wyryte w dwóch kolumnach nazwiska Polaków — założycieli muzeum, zgrupowane według prowincji Polski.

Na piętrze mieści się biblioteka, która zawiera różnojęzyczne dzieła związane z Kopernikiem i astronomią.

Według informacji profesora Andrissi z Obserwatorium Astronomicznego w Medio lanie (w latach 1934-48 asystenta Obserwatorium Astronomicznego w Rzymie i opiekuna zbiorów Wołyńskiego) istnieje na Monte Mario inwentarz i katalog kartkowy zbiorów zrobiony niegdyś przez Wołyńskiego.

Ówczesny (1959 rok) dyrektor Obserwatorium na Monte Mario niewiele interesował się sprawami muzeum. Zbiory muzealne były nie uporządkowane a zbiór Wołyńskiego przemieszany z innymi.

Muzeum Kopernika na Monte Mario w Rzymie, owoc wieloletnich wysiłków entuzjasty doktora Artura Wołyńskiego, dziś już jest prawie zapomniane.

NATALIA CANOVA

Starożytny ekwatoriał, biblioteka kopernikowska

eta Thomas Campbell pisał wiersze o Polsce. Przed paru laty Polacy, mieszkający w Glasgow zorganizowali uroczystości ku czci Campbella, połączone z małą demonstracją pod pomnikiem poety na George Square w Glasgow. Miejscowa prasa podała obszerne sprawozdania z obchodów, uzupełniając je gorzką uwagą, że Polacy przypominają Szkotom o ich poecie. Ten krótki i bardzo niepełny przegląd zakończmy nazwiskiem bankiera Teppera-Fergusona. Pożyczył on królowi Stanisławowi Augustowi 5 milionów dukatów. Wobec upadku Polski sumy tej nie odzyskał i zbankrutował.

Jeden z autorów opisujących życie Szkotów na kontynencie w wiekach XVI i XVII nazwał Polskę ówczesną „Ameryką owych czasów". Niestety przyszły lata nieszczęść i role się odwróciły. W okresie „wielkiej emigracji" wielu Polaków znalazło drugą ojczyznę w Szkocji. Grupa około stu osób zatrzymała się w najpiękniejszym z miast szkockich, a chyba i brytyjskich — w Edynburgu. Tu ukazywało się czasopismo pt. „Polish Exile". Do Szkocji wreszcie emigrowali chłopi polscy na początku bieżącego stulecia, a potomków ich można dziś jeszcze spotkać w okręgach górniczych kraju.

Gdyby jednak w okresie naszej narodowej niewoli Szkoci nie wyrównali całkowicie rachunku przyjacielskich usług, to okazja zdarzyła im się w czasie drugiej wojny światowej i z okazji tej skorzystali.

Przede wszystkim polscy naukowcy i studenci znaleźli w Edynburgu przytułek i możność kontynuowania pracy naukowej, bowiem przy tamtejszym uniwersytecie utworzono polskie wydziały. Do dziś wśród profesorów tego i innych szkockich uniwersytetów można znaleźć nazwiska polskie. Zaraz po Dunkierce zaczęła się bogata historia polskich formacji wojskowych, organizujących się i ćwiczących w tym kraju. Wiele tam było i różnorodnych oddziałów, zdaje się, że nie popełnię większego błędu, sprowadzając tę bogatą i barwną historię do powstania pierwszej dywizji pancernej, dowodzonej przez gen. Maczka oraz Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Droga bojowa tych i innych formacji to temat odrębny, przekraczający ramy i tematykę niniejszego reportażu. Wypada więc wspomnieć o końcu wojny, kiedy to nastąpiło rozformowanie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Część żołnierzy powróciła do kraju, część osiedliła się w Anglii, część zdecydowała się szukać szczęścia za oceanem, wielu zaś, tych zwłaszcza, którzy wcześniej stacjonowali w Szkocji, powróciło do miejsc poprzedniego pobytu. Nie był to okres łatwy w ich życiu. Niełatwo bowiem przekuć miecze na lemiesze, zwłaszcza jeśli się było zawodowym żołnierzem nie rolnikiem. Utworzenie tzw. Polskich Sił Posiłkowych umożliwiło powolne przystosowanie się do warunków, zdobycie fachu, znalezienie pierwszej, nie wymagającej specjalnego przygotowania, pracy. Zapewne łatwiej było owemu kapralowi, który wywoził bombę na taczce, bo otrzymany w posagu domek można było uważać za dobry początek. A komu było lekko w te pierwsze powojenne lata? Demobilizowani Szkoci pomimo wszystko niechętnym okiem patrzyli na obcojęzycznych konkurentów do posad. Toteż nierzadko trzeba było przełknąć usłyszane na ulicy „go home!".

Z tamtych czasów zachowała się w pamięci ludzkiej anegdotka o dwóch Polakach, którzy spotkali się w Glasgow po długim niewidzeniu. Jeden z nich, przyzwoicie ubrany, zagadnął drugiego: „Coś ty, Stasiu, nietęgo wyglądasz, co się z tobą dzieje?" — „Kiepsko się dzieje — odpowiedział Stasio — a wszystko dlatego, że nie znam języka angielskiego. Nawet, kiedy mam pieniądze, to nie mogę się najeść, bo nie wiem, jak nazwać to, co bym chciał kupić". Ale to bardzo proste doradził kolega — powiadasz „Fish'n chips" i dadzą ci rybę z frytkami". Stasio skorzystał z rady, ale kiedy się spotkał z kolegą po dwóch miesiącach znów wyglądał nietęgo. „No, jak ja mogę dobrze wyglądać — wyjaśnił — jeżeli przez dwa miesiące niczego innego nie jem, tylko „fish'n chips". „No, to przecież możesz poprosić o coś innego. Na przykład o „beefsteak", tzn. befsztyk". Poszedł Stasio do restauracji i prosi o „beefsteak". A wtedy kelner: „What a beefsteak do you want? Well-done, underdone?" „Oooo... jęknął Staś nie rozumiejąc ani słowa — „fish'n chips", „fish'n chips".

Na szczęście te czasy należą do dalekiej przeszłości. Liczbę Polaków, mieszkających na terenie Szkocji oblicza się dziś na dwa do pięciu tysięcy. Tak wielka rozpiętość wynika z braku jakichś spisów i chyba z faktu, że co do wielu mieszanych rodzin szkocko-polskich trudno z całą pewnością powiedzieć, do jakiej narodowości zaliczyć dzieci. Największe skupisko Polaków to Edynburg, Glasgow, Dundee, Kirkealdy, Falkirk i Alloa. Dziś powodzi im się średnio lub dobrze. Wielu uciułało pierwsze zarobki, by uruchomić interes o znanej nam nazwie „fish'n chips". Stragan lub sklepik oferujący tę niesłychanie popularną potrawę pozwolił niejednemu dorobić się prawdziwego sklepu, lub przekwalifikować z pracy kuchennej na działalność pralniczą. Polacy, zwłaszcza zamieszkali w Glasgow, stworzyli mnóstwo niewielkich pralni, przeznaczonych raczej dla klasy robotniczej, piorących szybko i dobrze, ale bez prasowania i innych usług. Dorobienie się domu lub „wżenienie" się do domu bywało początkiem działalności hotelarskiej. Można w tej dziedzinie znaleźć dziś Polaków — potentatów. Ciekawie wyglądają wysiłki nad podtrzymaniem polskiej świadomości narodowej w młodym pokoleniu. Byłem na otwarciu roku szkolnego w sobotniej szkółce polskiej w Glasgow. 80 dzieci na liczącą około 800 osób społeczność polską w tym mieście. Takich szkół jest w Szkocji pięć, a uczy się w nich 250 dzieci.

Interesujące jest powiązanie tych szkół z systemem szkolnictwa państwowego. Szkockie władze szkolne uznały te szkoły za uprawnione do uczenia, a zdanie egzaminu z języka polskiego daje absolwentowi szkoły średniej taki sam punkt w staraniach o dostanie się na wyższą uczelnię, jak każdy inny przedmiot. Nie wynika z tego, niestety, by cała ta młodzież rzeczywiście uznawała język polski za własny. Nierzadkie są jednak wypadki, że młody człowiek po ukończeniu szkoły i zaczęciu pracy uzupełnia braki i używa języka polskiego na równi z angielskim.

Przed pięciu laty powołano do życia Szkocko-Polskie Towarzystwo Kulturalne. Wśród jego 300 członków większość to Szkoci. Celem Towarzystwa jest stworzenie stałych i bliskich kontaktów między dwoma krajami. Formy działalności — to organizowanie pokazów filmowych, wystaw, wymiana filatelistyczna, organizowanie koncertów artystów polskich w Szkocji, wizyty w Polsce. A oto kilka tytułów polskich filmów, pokazanych na niedawnym Festiwalu: „Colonel Wołodyjowski", „Direction Berlin", („Kierunek Berlin"), „How to be loved", („Jak być kochaną"), „Yovita".

Honorowy prezydent Towarzystwa, Lord Boyd Orr powiedział: „Wielki to dla mnie zaszczyt, że pełnię funkcję Prezydenta w Towarzystwie, zacieśniającym kulturalne kontakty pomiędzy dzielnymi Polakami a dzielną Szkocją".

Rys. E. Inglot

VYTAUTAS SIRIJOS GIRA

Z cyklu: Kartki z podróży człowieka

Warszawa

Warszawo alej, wdzięku drzew szumiących!
Mieście wielmoży, zziębniętych biedaków,
Stolico nóżek, oczu uwodzących,
Mieście pałaców, ruder i baraków,

Warszawo, której Wisła jest uśmiechem!
Miasto kościołów, dumy i próżności,
Gdzie świętość w parze przechadza się z grzechem,
Warszawo września — nie znałaś sprzeczności...

Warszawo czujna w noce jak wybuchy,
Warszawo, miasto zżerane przez ogień,
Warszawo, w której miłość i gniew głuchy —
Drwiłaś ze śmierci i nie znałaś trwogi!

Przełożył: Jan Huszcza

Marsz z „Królewny Śnieżki"

Z barwnego filmu w technikolorze
Marsz krasnoludków borem i lasem.
Gwizdali marsza śpiesząc na dworzec,
Aby odeprzeć wroga pałaszem.

Wcześnie poszliście, podchorążowie,
Pomiędzy grady ogniste... dzieci.
I któż dogwiżdże, werblem dopowie,
Gdy wy już marsza nie dogwiżdżecie?!

Cudza matka

Biedaczko, przypomniałem ci syna
I od łez się zaniosłaś w przedziale.
Syn we wrześniu w ataku zginął.
Żyjesz tylko pamięcią i żalem.

Głaskałaś mnie dłońmi spierzchłymi
Tak jak matka dziecko... Strzelano.
Nalot. Bomby. Furia piekieł na ziemi...
I nie mogłem cię uspokoić, mamo!

Przełożył: Tadeusz Chróścielewski

PIOTR WIEGIN

Majakowski

Kto zastrzelił Majakowskiego?
Kto?
...Kwiecień powiedzieć nie może.
Tylko krople spadają w dół
jak guziki odcięte nożem.
Trzynastego się kłócił, walił pięścią w stół
i nie wiedział jeszcze,
że następny świt
zwilży okulary Łunaczarskiemu
jak deszcze
i zaszlocha Asiejew
jak ja teraz.
Kto zastrzelił?
Łajdak, bohater bohemy?
Kto to był?
...Giendrykow zaułek milczeniem wzbiera.
Może samotność?
Nie ma imienia. Jest tylko śmierć.
Nie, śmierci nie ma:
On pogrążony we śnie
równolegle do horyzontu
Leżał głową w świt jak czerwony poemat.

Przełożył: Wasyl Kocznow

VACYS REIMERIS

Litwa

Wybacz.
W świecie wielkich uczuć i zdarzeń
lubimy chwile urzekające.
Gdzieś na plaży
maleńki szkła kawałek
nagle nam błyska jak słońce,
wabiąc bliżej,
choć jego światło
po jednym kroku ginie.
Bądź dumna,
promienna jak słońce,
jeśli naprawdę
blask każdy — inny —
odblaskiem jest twoim
jedynie.

Ty światłem promieniejesz.
To moje słowa —
i żadna mnie wina nie nęka,
choć czasem twoje spojrzenie
na serce kładzie się cieniem...
Wybacz.

Dobrze, że jednak istnieją —
minuty oczarowania
i niespokojnej miłości
długi ciąg lat się odsłania.

Przełożył: Igor Sikirycki

ALEKSANDER NIKOŁAJEW

Moja gwiazda

Upadła z nieba jedna z gwiazd
i zgasła gdzieś w czeluści,
a smutno tak, jak gdyby nas
na zawsze ktoś opuścił.

Niejeden odszedł stary druh
tam, pod ten strop gwiaździsty,
i nie zobaczę go już tu,
nie przyśle mi już listu.

I ja odejdę, przyjdzie czas,
swobodnie, w obszar cieni,
by Mlecznej Drogi chłodny blask
na zwykłą ścieżkę zmienić.

Otoczy mnię słoneczny krąg —
w tym blasku jak w koronie
pójdę i nie poskąpię rąk,
choćbym miał spalić dłonie.

A kiedy już odnajdę ją,
uczynię to co trzeba,
aby podtrzymać gwiazdę twą
tak, by nie spadła z nieba.

★ ★ ★

Wojny zaczynają się na świecie
o brzasku w kłębach gęstej mgły,
gdy zakochani poeci
iluzoryczne mają sny.

O świcie umierają ludzie,
w mroku swych domostw,
w ciszy chat,
gdy noworodek ze snu budzi
pierwszym okrzykiem cały świat.

Cokolwiek by to nie znaczyło
nie ganię świtu,
mówię szczerze,
świt bowiem zawsze jest początkiem
dzieł wiekopomnych
i zamierzeń.

Przełożył: Igor Sikirycki

MAKSYM TANK

★ ★ ★

Droga —
Szeroka w nieskończoność nitka
Z węzłami pamięci.
Na przyzbie starej chaty
Matka z tej nitki
Wiąże szydełkiem spotkania
I cieszy się,
Kiedy zaskrzypią wrota,
Kiedy usłyszy znajome kroki,
Kiedy choć na chwilę będzie mogła
Odłożyć druty
I przynieść na stół poczestunek;
Dzban żywej wody — kwasu
I przed chwilą wyciągnięty z pieca
Bochen —
kawałek sierpniowego słońca.

Antena

Po sąsiedztwie z bocianim gniazdem
Wpierw ptaki nastroszywszy pióra — antena
Na tę modernistyczną kopię drzewa patrzały
A teraz zapomniawszy o polowaniu na żaby
Słuchają melodii ojczystej ziemi.
Dalekiej Afryki,
ostatnich wiadomości
I zwłaszcza komunikatów o pogodzie.

★ ★ ★

Gdy esesowcy rozstrzeliwali Węgierkę,
Ten myślał, że wyrzuty sumienia
Oprawcom nie dadzą spokoju,
będą ich nękać,
Jak chór w starożytnej helleńskiej tragedii.
Nie wiedział artysta, że rozstrzelano już wszystkich
chórzystów
Sofoklesa, Eurypida...
że i po nim
Jeszcze nieprędko zapadnie kurtyna.

Z białoruskiego przełożył: K. A. Jaworski

NORA JAWORSKA

Pierwsza kobieta mojego syna

Mała kropelka ludzkiego strumyka,
Kwiat, który w owoc się rozwinął, —
Idzie ulicą, kolczykami błyska,
Pierwsza kobieta mojego syna.

Pierwsza, której mężczyzna pożąda.
Na chwilę, czy na zawsze?
Gdzie się poznają — w parku, w pociągu?
Na radość? Na rozpacze?

Świecą kolanami
W spódniczkach - mini
Studentki i sekretarki...
Ty, która dostrzeżesz mężczyznę w mym synu,
Młodszaś od niego, czy starsza?

Jeśliś starsza...
On jeszcze niczemu nie winien,
Daj mu słowo, co słońcem się mieni,
Ty się nie mścij
Na moim jedynym
Za to wszystko, co było przed nim.

Byś nie była w jego pamięci
Jak głębokie, najgłębsze pęknięcie,
By chciał wrócić do tego, co przeżył,
Aby zawsze — od ciebie wychodząc,
Wiedział o tym naprawdę i szczerze,
Że kobieta to znaczy — dobroć.

No, a jeżeliś młodsza...
jeśli
oczy dziecka spod włosów lasu —
Niech on będzie zawsze dla ciebie
Chłopcem z dawnych, rycerskich czasów.

Żebyś tylko człowiekiem była,
To tak mało — i taki to ogrom.
Żebyś idąc od niego wierzyła,
Że mężczyzna — to znaczy dobroć.

Przełożył: Marek Wawrzkiewicz

KURT TUCHOLSKY

Obawa

Czy będę umiał umierać? Nieraz obawiam się, że nie potrafię. Zastanawiam się, jak będę się przy tym zachowywał. Och, nie chodzi o postawienie pod ściankę i okrzyk „Niech żyje..." podczas, gdy samemu się umiera; o tę minutę przed atakiem gazowym; portki pełne odwagi, bohatersko wykrzywiona twarz obrócona ku wrogowi. Nie o to chodzi, lecz po prostu o to pozbawione sensu zdarzenie w łóżku. Zmęczenie, męczarnia, właśnie to. Potrafię?

Przez wiele lat, na przykład, nie potrafiłem porządnie kichać. Kichałem jak mały piesek, co ma czkawkę. I do dwudziestego ósmego roku życia, przepraszam bardzo, nie umiałem czkać gdy mi się odbijało — aż poznałem Karolka, starego korporanta, ten mnie nauczył.

Owszem, widziałem — egzekucję i jak umierali chorzy — zdaje się, że wytężali się, by im się udało.

A co będzie, gdy się do tego tak głupio zabiorę, że mi nie wyjdzie? Możliwe, bądź co bądź.

„Bez obawy, dobry człowieku, masz fałszywe wyobrażenie o śmierci..." Mówi tu ktoś z własnego doświadczenia o najprawdziwszej ze wszystkich równości?

Stąd nad nami olbrzymia przewaga księży, że zachowują się, jak gdyby każdy z nich już sto razy umierał, jak gdyby tamten świat znali z własnego doświadczenia — i oto grają rolę ambasadorów śmierci wśród żywych.

Może nie będzie aż tak ciężko. I lekarz pomoże mi umierać. Jeśli bóle nie będą zbyt duże, uśmiechnę się skromnie: „Przepraszam — ja pierwszy raz..."

(przeł. Le-Be)

ROMAN ŁOBODA

„KRÓL EDYP"

JEST W TEATRZE JARACZA SCENA W SCENOGRAFII DANIELA MROZA, NA KTÓRĄ TO SCENĘ WPADA KRÓL EDYP, TUPIE NOGAMI I SPLUWA. SCENOGRAFIA JEST PROSTA, STYLOWA I AŻ ŻAL BIERZE, ŻE TAK OD SPLUWANIA TRAGEDIA BIEG SWÓJ NIEUBŁAGANY POCZYNA.

Zachowanie króla Edypa jest niecodzienne bo i niecodzienne klęski trapia kraj, w którym przyszło mu panować po ożenku z wdową po królu Lajosie, zabitym nie tak dawno podczas odbywania podróży. Ziemia przestała rodzić, trzody padają, zaś matki wydają na świat martwe niemowleta. I jak tu nie tupać nogami i jak tu nie spluwać? Zachowanie wszakże trochę, rzec by można, dziecinne, niemęskie i ciut komediowo nastrajające. Boć przecie to król i bohater, dzięki jego mądrości i odwadze miasto zostało uratowane od krwawego sfinksa. Aż wierzyć się nie chce, że tenże Edyp zachowuje się teraz jak rozpieszczone bobo.

Proszę więc wybaczyć ten wstęp, nieco żartobliwy, nie godzi się bowiem rzeczy o tragedii wykrzywiać niepoważnym akcentem.

(...) Przyglądamy się pracy, wysiłkom i zbliżaniu się aktorów ku prawdzie — pisze reżyser spektaklu **Helmut Kajzar.** — I jeżeli padnie ze sceny choć jedno słowo bliskie prawdy i zobaczymy choć jeden prawdziwy gest, może ogarnie nas wtedy uczucie radości i ulgi. (...)

Wiadomo o jakiej radości i uldze mówi Kajzar, bo nawet nie myśli o katharsis, wynikającym z przeżycia tragedii. Reżyser „Króla Edypa" rozumie, że niesłychanie złożony i trudny proces przekazywania prawdy przez sztukę sceniczną jest zbliżaniem się do Prawdy. Ambitne zamierzenie, które trzeba szanować. Tymczasem równie młody i ambitny aktor, **Ryszard Żuromski,** wchodzi na scenę jako król Edyp i czujemy fałsz gestu, fałsz reagowania. Obaj przegrywają „pierwsze rozdanie". Można przegrać wiele bitew, a wojnę wygrać — powiedział kiedyś jeden wielki batalista. Historia zrodziła to powiedzenie i historia je potwierdziła nawet w sferze teatru.

W „Królu Edypie" jesteśmy świadkami przegrywanych i wygrywanych scen. Nieśmiertelne dzieło Sofoklesa ma siłę i wytrzymałość stali. Młodzi artyści poddali je próbie hartowania wiarą w posłannictwo sztuki, nie do końca wszakże wiedząc, jakich zaklęć użyć w tym celu.

Dzięki autentycznemu patosowi tragedii greckiej i żarliwej grze prawie całego zespołu, wychodzimy z teatru nie bez cząstki tej prawdy artystycznej, o którą Helmutowi Kajzarowi chodziło w teoretycznych założeniach:

„(...) Tragedia stawia pytanie ostateczne, niezrelątywizowane. Teatr musi, jeśli nie chce uciekać się do groteski czy parodii, rozegrać część walki o Absult w obrębie teatralnej formy (...)"

Wielkie słowa, chwalebne słowa! Jeżeli udało się Kazjarowi wcielić w czyn cośkolwiek z zamiarów, a sądzę, że szczerych, to mniemam w tym zdaniu było prawdziwe „zaklęcie". To pytanie, ostateczne pytanie nie zostało zagubione w mnogości stosowanych konwencji reżyserskich.

A zło, jakkolwiek dało znać o sobie tupaniem, leży w tym oto, innym z założeń: „Raczej pozwolić zachowanym tekstom, by dopasowały się do struktury współczesnej sceny i form współczesnego teatru".

Pytam zatem, do której z form współczesnego teatru? I nie przyczepiając się do słów, do wyznań, które już niejednego, nawet z wielkich, uwiodły — widzę: po pierwsze coś, co kiedyś przy omawianiu Festiwalu w Toruniu nazwałem z żartobliwą dobrodusznością, „panterowym teatrem". Tam, gdzie mit staje się, albo jest bliski magicznym obrzędom, gdzie fatum „dotyka swym palcem" osoby tragedii, Kajzar ucieka się do wypróbowanych wzorów ze szkoły Grotowskiego, do komponowania, wcale udanych, figur gimnastycznych, przeważnie poziomo-parterowych co sugerowałoby odczytanie „Króla Edypa" poprzez atawistyczny biologizm reakcji psychicznych w obliczu tragicznego losu, czy tylko wobec „kilku lęków" współczesności, widzianych poprzez archetyp. (Uff... to ci gimnastyka!).

W zasadzie, choć nienowa, rzecz do przyjęcia, gdyby na tym poprzestano, tym bardziej, że mit najbardziej powolny być się wydaje tego typu praktykom.

Ale na tym nie koniec.

Józef Zbiróg wchodzi jako Kreon i on (Józef Zbiróg — utalentowany aktor) wprowadza ład i spokój, ale i napięcie wewnętrzne tragedii greckiej, która jest bliższa pantomimy niż krzyku i hałasu.

(...) nie chcę rekonstruować form teatru Grecji starożytnej — pisze Helmut Kajzar. I słusznie, bo po co? Ale od ducha tragedii nie można się odczepić, bo on, jak Feniks z popiołów wstaje, materializuje się i niekiedy ratuje spektakl. Zbiróg, a także inni, o których później, mają zdrowy instynkt, doświadczenie i nieco szczęścia, że nie popłynęli w tej mozaice konwencji. Bo Kreon jest i pozostaje do końca w innej konwencji niż Edyp. Wbrew pozorom Zbiroga interpretacja Kreona jest bardziej współczesna niż interpretacja realistycznego Edypa — Żuromskiego.

Żuromski rozdarty przez demony stylów reżyserskich, a Żuromski w realistycznych sekwencjach, to dwie różne sprawy. Niepokoi mnie u tego niewątpliwie zdolnego i obdarzonego pasją młodego aktora nawet nie skłonność do histerycznych akcentów w grze, ale ich powtarzanie w różnych założeniowo dramatach. Jeżeli w Irydionie „nadnorma" Heliogabala była uzasadniona, to w Edypie, a przynajmniej w wielu kwestiach, wydała się niezbyt przystająca.

Mimo tych zastrzeżeń Żuromski mógł się podobać, posiada bowiem sprawność fizyczną, płynność i trafność gestu oraz siłę wcale nie płynącą ze strun głosowych, co właśnie sprawdza się dobitnie w częściach „gimnastycznych" koncepcji scenicznej.

Nie uwziąłem się ani na gimnastykę ani na Grotowskiego. Celowe i konsekwentne przenoszenie doświadczeń „Laboratorium badań metody aktorskiej" z Wrocławia wzbogaca teatry dramatyczne, poszerza środki wyrazu scenicznego.

Jan Maciejewski z dużą trafnością wydozował w Hamlecie grotowszczyznę — rodem z Tomaszewskiego — te elementy, które służyły konsekwentnemu odczytaniu Szekspirowskiego arcydzieła.

Jan Błeszyński w Edwardzie II Christophera Marlowe'a nawet znalazł u Grotowskiego klucz do zamknięć rozwiązań inscenizacyjnych spoistych i swoiście dowcipnych.

Helmut Kajzar nie był do końca zdecydowany na nic, chociaż był świadom wszystkiego.

Naturalistyczno - melodramatyczna scena pożegnania Edypa z dziećmi, to efekt, z którego łatwo można było zrezygnować, przynajmniej w imię dwoistości stylu.

Alina Kulikówna w roli Jokasty, królowej Teb i żony swego syna, Edypa, jakkolwiek poddawana niekiedy ćwiczeniom fizycznym, utrzymywała się w umiarkowaniu i nie miała złych momentów. Szkoda tylko, że w scenach zdecydowanie tragicznych jej żar wewnętrzny i siła wyrazu nie dorównywała taktowi kreacyjnemu. Bo tu właśnie jest gdzieś ta prawda, w jednym, nawet cichym, akcie rozpaczy czy triumfu, uderzającym jak cios w widzów, którzy... „Tam, gdzie niegdyś była orchestra wtargnęli. Podeszli do sceny, by przypatrywać się aktorom".

W azylu wyodrębnionej konwencji obracała się **Mirosława Marcheluk,** jako Terezjasz, prorok. Nie żal, że roli tej nie grał mężczyzna. Była i komunikatywna i ponadczasowa tak w plastyce ruchów, jak i w słowie.

Bardzo ładną scenę miał Pasterz **(Dymitr Hołówko)** z Edypem. Interesujące było powtórzenie, utrzymane w niesłabnącym napięciu, ale i w innej tonacji przez Hołówkę, a także Żuromskiego.

Danuta Kłopocka (Domownica) w znakomitym stylu uporała się z nie łatwą kwestią epilogową, a **Alicja Cichecka** nie miała dużego pola do popisu jako Goniec z Koryntu.

Jeszcze raz w zakończeniu „poepilogowym" Edyp sam sobie sędzią i sam wymierza sobie sprawiedliwość ponad ludzką miarę. Tu wolno było Żuromskiemu rysować scenę na pograniczu rozpaczliwego obłędu, ale i tu gest Edypa jest świadomym buntem przeciw ślepemu fatum, a nie poddaniem się wyrokom boskim, co chyba było Sofoklesowską dydaktyka na jego czasy. Na dziś Kajzar odczytuje działanie Edypa jako bunt i świadome przeciwstawienie się losowi. W tym odczytaniu, w ostatniej scenie, Żuromski jest najbliższy prawdy.

Nie jest odkryciem stwierdzenie, że mit Edypa każda epoka interpretuje na swój sposób.

Czasami wydaje mi się, że mit ten ewoluuje w XX wieku w kierunku odpowiedzialności człowieka za swoje czyny, w kierunku ludzkiej odpowiedzialności za ludzkie czyny. Myślę, że nie jest to ani Edyp buntownik, ani Edyp operowy, ani Edyp okrucieństwa, ani Edyp dydaktycznej pokory. Podejrzewam, że jest to Edyp etyczny.

Jokasta — Alina Kulikówna, Edyp — Ryszard Żuromski.
Fot. Fr. Myszkowski

Przeszłość i teraźniejszość

Felieton

prawie statystyczny...

Z pięknej książki Jadwigi Kamionkowej „Życie literackie w Polsce w pierwszej połowie XIX w" (PIW, 1970) wyczytuję informacje o sprawach może dla autorki nie najważniejszych, ale dla publicysty historycznego bardzo istotnych. Z historii kultury polskiej pierwszej połowy XIX wieku wiadomo, jak doniosłą rolę w świadomości ówczesnych ludzi pełniła historia, zaś lektury pamiętnikarskie z tamtych czasów poświadczają szerokie zainteresowanie czytelników wybitnymi a nawet mniej wybitnymi dziełami historycznymi, jakie pojawiały się wówczas na półkach księgarskich. Bibliotek publicznych w praktyce wówczas niemal nie było, więc ci, którzy te książki czytali, musieli je albo kupić, albo pożyczyć od kogoś, kto je kupował. Owych kupujących zaś musiało być sporo, skoro nakłady dzieł historycznych były wcale niemałe. Joachima Lelewela „Dziejów Polski potocznym sposobem opowiedzianych" sprzedano w 1829 roku w kilka tylko miesięcy aż 2000 egzemplarzy tak, że rychło trzeba było gotować nowe wydanie. „W roku 1850 odbijano w Warszawie dzieł historycznych po 1 tys. egzemplarzy, powieści autorów mniej znanych po 600 do 700 egzemplarzy, pism Kraszewskiego, egzemplarzy 1500" — pisze historyk literatury. Pomyślmy: Kraszewski miał nakłady tylko o połowę większe od historyków! Józefa Szujskiego pierwszy tom „Historii Polski" wydany w 1862 roku rozszedł się w samej tylko Galicji w około 1 tys. egzemplarzy, a w niewielkim przecież Przemyślu sprzedano w prenumeracie do 200 egzemplarzy; nakład wynosił 3 tys. Dzieła Karola Szajnochy drukowano we Lwowie zrazu w 1 tys. a potem w 1500 egzemplarzach.

Przyznajmy, że nawet w porównaniu z naszymi czasami, gdy nakłady naukowych książek historycznych wcale nieczęsto wynoszą 3 — 5 tys. egzemplarzy, częściej zaś są mniejsze niż większe od tej liczby, były to nakłady bardzo wysokie. A przecież książka była wówczas dostępna nie dla wszystkich, ze względu na swoją cenę! W pracy J. Kamionkowej znajdujemy sumienne zestawienie cen na różne dzieła, publikowane w XIX wieku, a wśród nich także na książki historyczne. Lelewela „Dzieje Polski" (1830) kosztowały 7 zł, wydania z lat 1834, 1835, 1839 już 10 zł 15 gr; W. A. Maciejowskiego czterotomowa „Historia prawodawstw słowiańskich" (1832 — 1835) 32 zł, T. Narbutta „Dzieje starożytne narodu litewskiego" w 9 tomach (1837 — 1841) aż 200 zł, J. U. Niemcewicza „Dzieje panowania Zygmunta III" w 3 tomach (1836) wydanie zwykłe 60 zł, luksusowe 90 zł, rocznik popularnego miesięcznika „Biblioteka Warszawska" 60 zł. Oznacza to, że roczna prenumerata „Biblioteki" wynosiła więcej niż połowę miesięcznych dochodów ówczesnego dziennikarza (proszę kolegów dziennikarzy by obliczyli, jaki procent ich dochodów wynosi dziś roczna prenumerata „Miesięcznika Literackiego", która stanowi 120 zł), który zarabiał miesięcznie 100 — 80 zł. Nieco lepiej był wówczas uposażony referent... cenzury (125 zł) czy urzędnik komunalny (175 — 250 zł), ale robotnik niewykwalifikowany zarabiał 1 — 1.50 zł dziennie, wykwalifikowany zaś 2 do 4. Pomnóżmy to przez około 25 dni roboczych (a nie zawsze było ich przecież tyle) i zobaczymy, że potencjalna możliwość kupienia sobie książki przez robotnika była wtedy właściwie żadna.

Wniosek, jaki płynie z zestawień J. Kamionkowej jest oczywisty: „książka, przy ówczesnych cenach, mogła być wyłącznie artykułem luksusowym, przedmiotem zbytku. Tak długo nie mogła stać się artykułem pierwszej potrzeby i codziennego użytku, dopóki nie udało się radykalnie obniżyć jej ceny". Czyżby kupującymi książki byli więc głównie przedstawiciele klas posiadających? Lista prenumeratorów „Dziejów panowania Zygmunta III" Niemcewicza (1819) składa się z 843 nazwisk i kilkunastu instytucji; wśród osób — wedle wyliczenia Kamionkowej — znajdowało się 34,3 proc. przedstawicieli elity, 9,5 urzędników, 9,3 „obywateli" miejskich", 11 przedstawicieli wolnych zawodów, 20,5 ziemian, 10,3 wojskowych, 4,7 proc. duchownych. No tak — aleć to przekrój nietypowy, bowiem kiedy indziej rola elity i ziemiaństwa bywała znacznie mniejsza, dowodzą tego badania autorki. Wśród tych 200 przemyskich abonentów dzieła Szujskiego na pewno bardzo niewielu było hrabiów i szambelanów. Wiek XIX przynosi bowiem w Polsce kształtowanie się nowego odbiorcy książki, który dotychczas po nią nie sięgał, rekrutującego się z klas średnich i właśnie on poczynał teraz stanowić o poczytności drukowanych dzieł, które sięgał nieraz kosztem znacznych wyrzeczeń. A więc nie szlachta czy arystokracja byłaby głównym czytelnikiem dzieł historycznych? Zapewne. Procesy kapitalizacyjne wiodły do uaktywnienia nowych kręgów społecznych, tworzenia się subkultury miejsko - inteligenckiej z jej nowymi wzorcami obyczajowymi i kulturowymi. Sięganie przedstawicieli tych kręgów po historię, po dzieła treści historycznej, miałożby wyrażać tęsknoty do... wzorców arystokratyczno - ziemiańskich? Bo przecież — jak słusznie powiada autorka — „kupcy i arywiści udawali się do biur heraldycznych, gdzie odnajdywali lub dorabiali sobie stosowne genealogie i herby, których potem używali z całą ostentacją". Tak, ale w książce historycznej rzadko kto mógł przecież coś znaleźć o własnych przodkach, chyba, że był to jakiś herbarz... A więc musiały istnieć inne potrzeby. Widziałbym je nie w modzie literackiej romantyzmu, ale przede wszystkim w aktywizacji świadomości narodowej średnich grup społecznych, która prowadziła do wzrostu zainteresowania historią.

JÓZEF GRZELAK

ANDRZEJ GRUN

Z czego i za co czyli o rzeźbie

Rozkwita rzeźba monumentalna — w historii naszej i naszej świadomości wiele jest spraw i rzeczy, które chcemy zamknąć w trwałym, materialnym symbolu, aby przypominały, aby trwały dłużej, niż jedno, niż dwa pokolenia.

Życie kulturalne i społeczne kraju wpływa pozytywnie na rozwój medalierstwa, które posiada u nas i bogatą tradycję i wdzięcznego odbiorcę. Często medale polskich plastyków docierają tam, dokąd nie docierają echa zdarzeń, z racji których owe dzieła rzeźbiarskie i miniatury powstały.

W architekturze naszych miast pojawiają się jak przysłowiowe grzyby kompozycje przestrzenne wzbogacające pejzaż miejski. Równie dużo takich kompozycji przestrzennych, sygnowanych nazwiskami polskich plastyków oglądać można poza granicami kraju (w Danii, Szwecji, Meksyku, Holandii).

Znajduje dla siebie miejsce rzeźba i płaskorzeźba o charakterze wyraźnie dekoracyjnym — we wnętrzach lokali użyteczności publicznej, w kawiarniach, kinach i teatrach.

Polska rzeźba ceramiczna, ceramika w ogóle, dzielnie kroczy w światowej czołówce (ostatnio nagrody Francuskiego Stowarzyszenia Działalności Artystycznej na Biennale Ceramiki w Vallauris dla J. Karczewskiej i S. Koniecznego).

Umiera natomiast śmiercią powolną lecz nieodwracalną, jak się wydaje, rzeźba kameralna. Dzieje się to z kilku powodów. Po pierwsze brak jest materiału i to nie tylko nowych tworzyw, które stosuje się powszechnie w rzeźbie zachodniej, a które dla naszych rzeźbiarzy są równie nieosiągalne jak próbki skał księżycowych, ale nawet materiałów tradycyjnych — kamienia, dobrego drzewa, szlachetnych metali. Rzeźba monumentalna powstaje na konkretne zamówienie i środki na jej realizację są zabezpieczone. Medalierstwo związane z rocznicami i zdarzeniami aktualnymi również z reguły ma mecenasów dysponujących odpowiednimi funduszami i możliwościami. Zresztą medale, plakiety okolicznościowe, znaczki powstają ze współpracy plastyka z jakimś zakładem mechanicznym, ze spółdzielnią metaloplastyczną. Zdarza się dziś nader rzadko, aby plastyk we własnym zakresie produkował tego rodzaju przedmioty — ograniczą się on najczęściej do projektowania. Rzeźba wypalana powstaje przede wszystkim w powiązaniu z ośrodkami ceramicznymi, gdzie łatwo dostępne są glina i wszelkiego rodzaju polewy i urządzenia. Rzeźba plenerowa z kolei ma swoich mecenasów w zakładach przemysłowych, rodzi się jako wynik rzeźbiarskich plenerów, różnego rodzaju specjalnie organizowanych sympozjów (Elbląg, Puławy, Wrocław, Katowice).

Rzeźbie kameralnej pozostaje do dyspozycji gips. Można by przypuszczać, zwiedzając wystawy, że gips jest naszym materiałem narodowym. Bo plastyk robiąc na własny rachunek głowę dziewczyny czy rzucającego dyskiem chłopca, nie dysponuje odpowiednimi środkami technicznymi i przede wszystkim finansowymi. Bo są przepisy uniemożliwiające albo utrudniające w sposób monstrualny zakup odpowiedniego materiału, który jest akurat materiałem reglamentowanym. Bo wreszcie tego materiału nie ma wcale (np. marmur). Pozostaje więc gips. A rzeźba w gipsie warta jest funta kłaków albo jeszcze mniej. Po drugie ta rzeźba nie znajduje dla siebie miejsca, nie ma odbiorcy. Wyjątek stanowią tu sporadyczne zresztą konkursy tematyczne. Ale i w tym wypadku plastyk robi rzeźbę własnymi środkami na własny rachunek i własne ryzyko — robi on więc siłą rzeczy w gipsie. Część prac — niewielka część — z takiego konkursu bywa nagradzana i zakupywana przez wydziały kultury, organizacje, zakłady przemysłowe i ustawiana w świetlicach i aulach. Często można się w tych przybytkach natknąć na patynowane „pod brąz", brudne popiersia drażniące wzrok bielą poobijanych kantów, porysowanych — krótko mówiąc — zniszczonych. Bo są przecież z gipsu, materiału nietrwałego. Nie można się więc dziwić, że niemożność realizacji zamierzenia w trwalszym materiale wpływa deprymująco na rzeźbiarzy. Zniechęca ich. Wykonanie rzeźby, pomijając wszystkie inne momenty, organizuje ogromny nakład pracy fizycznej, przygotowawczej i dlatego wymaga ekwiwalentu w odpowiednim tworzywie.

Powyższe uwagi skreślone zostały po to, aby usprawiedliwić w jakimś tam stopniu Wystawę Rzeźby Okręgu Łódzkiego ZPAP w Parku Sienkiewicza, a w każdym razie, aby usprawiedliwić tych twórców, którzy gdyby dysponowali odpowiednimi środkami i możliwościami, mogliby zaprezentować się w zupełnie innym świetle. A tak wystawa ta jest ekspozycją tandety i ubóstwa środków wyrazowych. Można by o niej napisać wiele uwag krytycznych, ponieważ jednak niczego one nie zmienią, słuszniejsze wydaje mi się zwrócenie uwagi na jej elementy pozytywne.

Wystawa na swoje usprawiedliwienie — rzeźby Ewy Tyc i Kazimierza Karpińskiego stwarzają azyl dla reszty eksponowanych prac. Są bez wątpienia najbardziej interesujące plastycznie, najstaranniej wykonane. Pokutuje opinia, że można rysować palcem na piasku — byle dobrze. Możliwe. Ja osobiście wolę, żeby metal był metalem a nie patynowanym na brąz czy żelazo gipsem. Wolę, żeby blacha nie była pogięta, jeżeli te pogięcia wynikają z niechlujstwa albo ignorancji rzemieślniczej, nie zaś z założeń formalnych. Wolę, żeby rzeźba z białego gipsu była czysta, a nie brudna. Takie dziwne mam upodobania, przypuszczam jednak, że nie jestem w tych upodobaniach odosobniony. Dlatego tak szczególnie podkreślam solidność i staranność rzeźb Ewy Tyc i Kazimierza Karpińskiego.

Karpiński, absolwent łódzkiej szkoły pokazuje prace, które łączą w sobie zgodnie sprawność warsztatu z bogactwem inwencji. Szanuje materiał, w którym pracuje i zna jego możliwości. Jest oszczędny i powściągliwy w dawkowaniu ekspresji, potrafi być drapieżny, ale bez krzyku i histerii. Jego „Ekwilibrysta" przypomina nieco Lynn Chadwicka. Ale nie jest to zarzut, bo czy jest w dzisiejszej sztuce coś, co nie przypomina czegoś innego? Karpiński moduluje swoje wypowiedzi jak aktor moduluje głos. Dochodzi aż do ironii, aż do specjalnego gatunku dowcipu. Jego „Rozdętek" przywołuje na chwilę uśmiech. Tylko na chwilę, bo, o dziwo, ta niewielkich rozmiarów rzeźba, na pozór tylko zabawna, budzi głębsze refleksje. Może ona właśnie jest najbardziej „mówiąca" przez wielość skojarzeń literackich, które wywołuje.

Ewa Tyc, również absolwentka szkoły łódzkiej, zajmuje się malarstwem i rzeźbą. Te dwie dyscypliny, które uprawia, mają w jej wypadku wspólny mianownik. I na płótnach i w rzeźbie spotykamy się z tymi samymi formami organicznymi — wycinkami kobiecego ciała — łukami bioder, ramion, piersi. Nie są to opisowe akty czy ich dosłowne fragmenty — jest to próba wyrażenia klimatu kobiecego aktu, klimatu zmysłowości, pierwiastków czysto erotycznych.

Zwraca wśród eksponatów uwagę zabawny collage rzeźbiarski Jana Grodka: „Moja żona w wieczorowej sukni" — zaskakujący atmosferą rzeźby meksykańskiej, płaskorzeźb Mayów. Trudno powiedzieć, czy jest to kaprys, zręczny i kulturalny pastisz, czy ogniwo w łańcuchu — Grodek pokazał tylko tę jedną pracę.

Jest na wystawie kilkanaście rzeźb z drzewa. Sugerują one jednak nieodparcie, że materiał, jakim dysponowali twórcy narzucał im nie tylko formę i sposób obróbki, ale i temat. Sugerują, że zrobione są z jakichś resztek i odpadów, zmuszających do takiego a nie innego ich wykorzystania, niezależnie od woli i wizji autorów. Chciał artysta zrobić i konia i jeźdźca i dziewczynę piękną, a starczyło na kawał zmurszałego drewna, podwiązanego powrozem. Sprawę więc trzeba było ratować tytułami. A tytuły są piękne, pełne treści: „Hades", „Eroica"... Tylko Michał Gałkiewicz jak zawsze i drzewo ma porządne i schludnie obrobione — szkoda tylko, że nic więcej o tych rzeźbach powiedzieć nie można.

Klasykiem wśród innych jest Wacław Wołosewicz — tradycyjny ale z prawdziwego zdarzenia rzeźbiarz, operujący formą zamkniętą, zwartą i mocną. Kolorowe kompozycje Szatkowskiego na przykład w zetknięciu z rzeźbami Wołosewicza są niczym projekty do dekoracji witryn sklepowych — aż odpychają tandetą wykonania i ubóstwa plastycznej inwencji. Kiedy patrzę na całość ekspozycji „Garncarz" Wołosewicza ponadnaturalnej wielkości postać siedząca króluje nad resztą jak Dawid. Tradycyjny, dobrze zrobiony, jakiś bardzo uczciwy i bezpretensjonalny na tle innych rzeźb. Szkoda, że też z gipsu...

P.S. Warto dodać, że Biuro Wystaw Artystycznych swoim starym zwyczajem dopełniło obrazu całości nie wydając katalogu.

JOLANTA MACH

Typy pod bronią

Od kilku miesięcy po ekranach kin krążą trzy filmy: „Buntownik bez powodu", „Zabójcy" i „Jesień Cheyenów". Cieszą się one niesłabnącym powodzeniem, być może dlatego, że choć bardzo różne — pierwszy reprezentuje gatunek filmu obyczajowego, drugi to film gangsterski, trzeci wreszcie to western — mają przecież kilka cech wspólnych. W pierwszym rzędzie łączy je pochodzenie; kraj albo ściślej miejsce: Hollywood (wobec rozkwitu w Stanach Zjednoczonych tzw. Filmu Niezależnego trudno dziś wrzucać filmy zza oceanu do jednego worka z napisem „amerykańskie"). Hollywood naturalnie wywarło na nich swoje piętno, komercjalne owszem, ale bynajmniej nie złe. Przeciwnie, ośmieliłabym się powiedzieć, że komercjalizm rozumiany jako chęć zapewnienia sobie zbytu ukazał się tutaj z najlepszej strony. Wszystkie trzy filmy odznaczają się znakomitym rzemiosłem, precyzyjną robotą scenariopisarską, reżyserską i aktorską i skutecznie opierają się pokusie tak modnego eksperymentowania. Ich budowa dramaturgiczna jest staroświecka, co oznacza, że w każdym z trzech wypadków opowiadanie ma początek, środek i koniec. Obstając przy takiej budowie, hollywoodzcy producenci jeszcze raz okazują swą wierność sojuszowi, jaki przed laty zawarli z Arystotelesem. Bo jak wiadomo, Arystoteles żądał klarowności i wyrazistego toku opowiadania, krótko — porządku, który również do umysłu widza wprowadza spokój i ład; porządku, od którego uparcie odzwyczaja ją nas filmy nowofalowe, mieszające czasy, miejsca i akcje, aby w ten nieprosty sposób przedstawić magmę — ich zdaniem — „prawdę" — życia. Mnie osobiście Arystotelesowy porządek daje wytchnienie, chciałabym też dodać, że przestrzeganie owych reguł w trzech opisywanych filmach nie wynika z rutyniarskiej postawy twórców. Z faktu, iż tak się nauczyli i inaczej nie potrafią... „Jesień Cheyenów" na przykład jest dziełem starego i wielkiego mistrza ekranu, Johna Forda, który dowiódł, że swobodne manipulacje czasem nie są dlań sprawą obcą ani niemożliwą. W „Człowieku, który zabił Liberty Valance'a", swoim poprzednim westernie, John Ford dokonał syntezy czasów — przeszłego, teraźniejszego i przyszłego — najwspanialszej, jaką zna kino. Uczynił to środkami cudownie, zadziwiająco jasnymi, nie obawiając się użyć przedmiotu dla wyzwolenia wspomnień. Dla nas także przedmioty bywają łącznikami między dawnymi a nowymi laty, Ford wykorzystał to potoczne doświadczenie w sztuce — współczesne kino, ryzykując zamęt, zdaje się wstydzić podobnych ułatwień. Co zaś do przyszłości, rodziła się ona z wyczuwalnej w każdym kadrze obecności twórcy; z jego pełnego krytycyzmu, lecz i miłości, dzisiejszego spojrzenia na westernowy mit. W „Jesieni Cheyenów" zabraknie już jakby magicznie potrójnego obrazu. Ale przyczyny braku nie będzie stanowić nieudolność czy rutyna.

Szukając następnej wspólnej cechy naszych filmów zostańmy przy „Jesieni Cheyenów". W roli szeryfa Earla Wyatta, postaci tyleż malowniczej, co dwuznacznej, występuje James Stewart, jeden z ulubionych aktorów Forda. Ulubionych nie bez powodu. Nie mając za sobą szkoły aktorskiej w rodzaju słynnego Actors Studio Elii Kazana, które może się poszczycić uczniami miary Jamesa Deana i Marlona Brando — Stewart stosuje metodę gry tam opracowaną i wypróbowaną. Metoda ta polega na zespoleniu praw ekranu, które artyści od początku chwytali instynktownie — ze wskazaniami, więcej, z ideą Konstantego Stanisławskiego. Stanisławski żądał od aktora, aby jednoczył się z odtwarzaną postacią aż do zatarcia granicy między grą a byciem, estetycy — mam na myśli głównie Erwina Panofsky'ego i Waltera Benjamina — ujęli to nieco inaczej: dla filmu „najistotniejsze jest to, że aktor aparatowi ukazuje siebie". (Benjamin). Niespodziewanie pomysł wcielania się w postacie nie przyniósł w wyniku ról przyziemnie naturalistycznych. Natomiast zarysowały się na ekranie ludzkie typy: bardziej lub mniej śmiertelne, moralnie wartościowe albo podłe, godne naśladowania bądź namiętnie potępiane. Wady, zalety, swoista filozofia życia — wszystko to uległo uogólnieniu. Ekranowe typy karmiły się charakterami, jakie naprawdę można spotkać w życiu i z kolei ich rysy charakterystyczne mutatis mutandis dają się wykryć wśród osób z naszego prawdziwego otoczenia.

Stewart, potem, do dziś opłakiwany po przedwczesnej tragicznej śmierci James Dean („Buntownik bez powodu"), wreszcie Lee Marvin i John Cassavetes („Zabójcy")... Cassavetes, zbyt ubogi, by uczęszczać do Studia Kazana, założył w Nowym Jorku własną szkołę dla aktorów o niższym czesnym, więc powszechniej dostępną, ale ideą i sposobem pracy, nie różniącą się od Studia. Z uprawianych w szkole ćwiczeń wyrósł film „Cienie", dzięki któremu oryginalne, mistrzowskie aktorstwo filmowe stało się udziałem awangardy („Cienie" należą do Nowego czy li Niezależnego Filmu Amerykańskiego). Z przyjazdem Cassavetesa do Hollywood aktorstwo to rozbłysło ponownie pełnym blaskiem w filmie komercyjnym; kto wie, czy Cassavetes nie będzie następcą Deana.

Nie bawiąc się w proroctwa podkreślmy to godne u

Rozmawiamy z J. M. doc. Zenonem Płoszajem

Uczelni muzycznej dzień powszedni

Z rozpoczęciem nowego roku akademickiego łódzka Wyższa Szkoła Muzyczna zakończyła obchody swego 25-lecia. Przebiegały one bez hucznych fanfar, raczej jako wewnętrzna uroczystość uczelni, jedynym oficjalnym akcentem był koncert studentów — solistów, chóru i orkiestry podczas tegorocznej inauguracji roku akademickiego. Rzec można — jubileusz obchodzony skromnie, odwrotnie proporcjonalnie do zasług artystycznych i pedagogicznych placówki.

Przy odświętnych okazjach zwykło się wracać wspomnieniami do początków, do pierwszych dni, do historii, a historia naszej WSM ma wiele kart chlubnych, wiele nazwisk międzynarodowej sławy jak — spośród pierwszych absolwentów — Wanda Wiłkomirska, Jan Krenz, Robert Satanowski i wielu innych. Jest ta uczelnia najstarszą ze szkół muzycznych w Polsce Ludowej. Gdy Kazimierz Wiłkomirski został wydelegowany do Łodzi dla organizowania uczelni, w zasadzie ona już istniała, powołana do życia przez grono muzyków, z inicjatywy niestrudzonej Heleny Kijeńskiej Dobkiewiczowej, która przed wojną prowadziła tu Konserwatorium.

Z łódzką WSM związanych jest wiele najznakomitszych nazwisk, wiele pięknych i podniosłych uroczystości. Ale przecież uczelnia, odnotowująca chlubnie karty swych dziejów żyje dniem dzisiejszym, dniem powszednim, codzienną żmudną pracą, w której wykuwają się wybitne talenty i szeregowi, niemniej potrzebni pracownicy sztuki zwanej muzyką. Wychowała łódzka Wyższa Szkoła Muzyczna wielu wybitnych solistów, wychowała wielu kameralistów, zasiliła szeregi orkiestr symfonicznych i teatrów muzycznych nie tylko w Łodzi, lecz i w całym niemal kraju.

— Jaki jest w nowym roku akademickim dzień powszedni uczelni, co jest dziś najważniejszym jej problemem? — z takim pytaniem zwracamy się do rektora WSM, J. M. doc. Zenona Płoszaja.

— Stoimy właśnie w przededniu dość istotnych zmian organizacyjnych, bowiem reforma szkolnictwa wyższego obejmuje również szkoły muzyczne. Ogólnie mówiąc, głównym kierunkiem reformy jest ściślejsze niż dotychczas dostosowanie kierunku kształcenia do potrzeb społecznych.

— Co oznacza to w praktycznym działaniu?

— W szkołach muzycznych obowiązywał dotychczas system czterowydziałowy (I — teorii, dyrygentury i kompozycji, II — instrumentalny, III — wokalny i IV — wychowania muzycznego). Projekt reformy wprowadza system trzy wydziałowy (I — kompozycji i pedagogiki muzycznej, II — wykonawczy oraz III — wychowania muzycznego). Przyjmując ten nowy

układ, trzy uczelnie w kraju pozostaną jednak czterowydziałowymi ze względu na to, że prowadzą kierunki unikalne. Warszawska — wydział reżyserii dźwięku, krakowska — edytorski i łódzka — wokalno-aktorski. Niemniej ogólna tendencja zmian obejmuje i nas.

W zasadzie reforma w największym stopniu ingeruje w wychowanie muzyczne — kierunek szkolący pedagogów dla szkolnictwa ogólnokształcącego. Dotychczas na wydziale tym były dwie sekcje: a — dla nauczycieli szkół muzycznych i b — dla nauczycieli szkół ogólnokształcących. Reforma proponuje całkowite poświęcenie tego wydziału pedagogom dla resortu oświaty. Przewiduje się system dwustopniowy. Pierwszy, trzyletni, nie dający tytułu magistra, uprawniałby do uczenia w szkołach podstawowych (klasy 1—8), drugi, po dwóch dalszych latach studiów, dawałby dyplom magistra i prawo nauczania w szkołach licealnych.

— W projekcie reformy pojawił się wydział wykonawczy, którego dawniej nie było?

— Tak przewiduje się, że objął by on instrumentalistów, wokalistów i dyrygentów (tylko w Łodzi, ze względu na odmienny charakter, kierunek wokalno-aktorski pozostałby wydziałem). I tu projektuje się dość poważne zmiany, mianowicie zróżnicowanie dyplomów na dyplom wirtuozowski, kameralistyczny i pedagogiczny. Pociągnęłoby to oczywiście pewne zmiany w toku studiów. Projekt ten ma dość poważne uzasadnienie. Na przykład w dziedzinie pianistyki istnieje sytuacja paradoksalna. Z jednej strony obserwuje się „bezrobocie" wśród pianistów — solistów, z drugiej zaś placówki muzyczne narzekają na brak akompaniatorów i korepetytorów. Tym czasem my kształcimy jeden typ pianisty — wirtuoza bez względu na rodzaj czy wielkość uzdolnień. I tak pianiści zdolni, ale nie wybitnie utalentowani, mający przy dużej konkurencji małe szanse wejścia na estrady koncertowe, a jednocześnie nie przygotowani do kameralistyki — pozostają bez pracy, rozczarowani i zawiedzeni. Wprowadzenie w życie owego punktu reformy o zróżnicowaniu dyplomów zmuszałoby studenta do podjęcia decyzji już w toku studiów o wyborze kierunku wirtuozowskiego lub kameralistycznego i kontynuowania studiów w obranej specjalności.

— Szkoły muzyczne w kraju kształcą bardzo dużo instrumentalistów. Czy można mówić o obawie — przepraszam za to niezręczne słowo — „nadprodukcji" muzyków?

— W niektórych grupach instrumentów można ciągle jeszcze mówić wręcz o braku muzyków, ale i ta „nadprodukcja" w innych grupach jest pozorna i wynika z tego, że absolwenci trzymają się kurczowo wielkich miast, w naszym przypadku Łodzi, mimo bardzo nieraz korzystnych ofert z miast wcale niemałych jak na przykład Bydgoszcz czy Kalisz.

— Sytuacja dość typowa dla środowisk artystycznych w ogóle, gdzie marzeniem najwyższym jest dostanie się do Warszawy. A propos — jeśli można poplotkować. Podobno wiceminister Wiśniewski wznosząc ostatnio toast za pomyślność uczelni podziękował za systematyczne dostarczanie kadr dla stolicy?

— Tak się jakoś składa, że istotnie wielu naszych absolwentów zajmuje stanowiska w placówkach muzycznych. Zresztą, nie tylko w Warszawie. Z okazji jubileuszu obliczyliśmy, że nasi wychowankowie zajmują trzy stanowiska rektorskie, 4 dziekańskie i 4 kierowników katedr w wyższych szkołach muzycznych. Poza tym pięciu jest na stanowiskach kierowników artystycznych czołowych oper i orkiestr symfonicznych.

— Jeśli jesteśmy już przy tym temacie to i Pan Rektor i prorektor Franciszek Wesołowski też mają dyplomy łódzkiej WSM?

— Na 20 samodzielnych pracowników naukowych naszej uczelni dziewięciu to jej wychowankowie.

— Specjalność naszej WSM — wydział wokalno-aktorski rozpoczął już drugi rok studiów. Czy można dziś powiedzieć coś na temat celowości tego eksperymentu?

— Na jakiekolwiek oceny jest jeszcze za wcześnie. Mogę powiedzieć tylko tyle, że tegoroczny egzamin wstępny dał bardzo ciekawe efekty, przyjęliśmy sporo młodzieży, która rokuje duże nadzieje. W tej chwili mamy na wydziale 50 osób, w tym 13 na wygasającym dziale wokalnym i 37 na wokalno-aktorskim. W przyszłości będziemy kontynuować tylko ten rodzaj studiów.

— W czasie tegorocznej inauguracji sztandar szkolny został udekorowany Odznaką Honorową m. Łodzi. Było to chyba dużą satysfakcją dla Szkoły?

— Oczywiście, ale satysfakcją było dla nas również otrzymanie samego sztandaru z okazji naszego 25-lecia. Otóż w 1969 roku nawiązaliśmy współpracę z ZPW im. Reymonta. Nasz udział w tych kontaktach polega na tym, że organizujemy w fabryce comiesięczne koncerty z prelekcjami dla załogi, prowadzimy również zajęcia i gry umuzykalniające w przyzakładowym przedszkolu. Natomiast zakład pomaga nam w rozwiązywaniu różnych kłopotów, a na inaugurację otrzymaliśmy od załogi ten właśnie piękny sztandar, udekorowany przez Miasto Odznaką Honorową. Myślę, że do otrzymania tego zaszczytnego odznaczenia przyczyniła się nasza młodzież, prowadząca na terenie miasta szeroką działalność koncertową. Soliści i zespoły kameralne występują w klubach, świetlicach itp., chór i orkiestra szkolna — w Filharmonii Łódzkiej. Chór zaprezentował publiczności łódzkiej, po raz pierwszy po wojnie, dzieła oratoryjno-kantatowe Bacha, Haendla, Mozarta, Szymanowskiego i in. Notabene projekt reformy przewiduje znacznie więcej godzin zajęć dla orkiestry niż to było dotychczas.

— I tak znów wróciliśmy do reformy. Kiedy przewiduje się jej wejście w życie?

— W zasadzie są to dopiero tezy do projektu reformy. Przedyskutowaliśmy je w gronie pedagogicznym i wnioski przesłaliśmy do władz centralnych. W styczniu mamy otrzymać szczegółowy projekt reformy, uwzględniający uwagi wszystkich szkół artystycznych. Ten projekt będzie przedmiotem dalszej dyskusji w szkołach. Jak więc widać władze centralne przywiązują dużą wagę do oceny projektu przez zainteresowanych. Ostateczna wersja reformy weszłaby w życie w przyszłym roku akademickim.

— Dziękujemy za interesującą rozmowę.

Rozmawiała:
TERESA WOJCIECHOWSKA

---

wagi zjawisko aktorstwa filmowego. Być może kiedyś doczeka się ono osobnej rozprawy, gdyż zdaje się odrębne od aktorstwa filmów francuskich, czy — dla większego kontrastu — polskich. Chodzi mi o to, że we wszystkich wymienionych filmach — tak w „Jesieni Cheyenów", jak w „Zabójcach" i „Buntowniku bez powodu" — aktorstwo to umożliwia tworzenie, podtrzymywanie i rozwijanie mitów. A kinematografia hollywoodzka w gruncie rzeczy w całości jest mityczna.

Nieraz propaguje mity, które obchodzą wyłącznie społeczeństwo amerykańskie. Niekiedy jednak jej mity mają zasięg szerszy, są zdolne zasiać ziarno otuchy bądź nauki także w duszach nie-Amerykanów. Tak jest z mitem self-made mana, który w różnych wariantach przewija się przez western i film gangsterski. W odmianie szlachetnej i całkiem realistycznej myśl o tym, że człowiek winien sam ukształtować swoje życie, pojawia się w obyczajowym „Buntowniku bez powodu". W tym zresztą, być może, tkwi tajemnica lata trwającego powodzenia filmu („Buntownik" powstał w roku 1955) i osobistego sukcesu Deana.

Bowiem film za pośrednictwem swego bohatera trafia w sedno współczesnych kłopotów z młodzieżą na Zachodzie. Socjologów, pedagogów i zwykłych rodziców ambarasowali najpierw, jak pamiętamy, hippiesi i dzieci-kwiaty: delikatne istoty wyrzekające się swej cząstki dóbr konsumpcyjnych, a w zamian za to łaknące dóbr duchowych, uczucia i zrozumienia. Podobny hippiesom antycypujący niejako ich pragnienia wydaje się James Dean w pierwszej części filmu. Jak pięknie pisał Kałużyński w „Polityce" — wyraża on głód uczuciowy każdym nerwem i każdym włóknem ciała. Ale o nadwrażliwości Deana opowiada tylko ekspozycja. Scena kulminacyjna ma poświadczyć męskość, dojrzałość bohatera.

Jest to scena, którą bez przesady można nazwać rytualną. Kojarzy się nie z czym innym, tylko z dawnymi obrzędami inicjacji, wprowadzenia w życie — dawnymi dla nas, a kultywowanymi do dzisiaj przez niektóre społeczeństwa prymitywne. Młodzieniec wykazywał w nich — przed sobą i przed innymi — siłę swojego charakteru. By poddać się obrzędowi musiał przede wszystkim pokonać lęk. Dla tego rytuał inicjacji zawsze i wszędzie bywał niebezpieczny — i tak jest w filmie „Buntownik bez powodu". Fascynujący widzów samochodowy wyścig do przepaści jedynie z pozoru wygląda szaleńczo i bezsensownie. Dean — dziecko cywilizacji, w której echa dawnych rytuałów pobrzmiewają zaledwie w maturze (a i to słyszy się głosy, że egzaminy maturalne nadto wyczerpują system nerwowy młodych ludzi) — czyni tu zadość potrzebie głębokiej i odwiecznej: potrzebie sprawdzenia się w oczach własnych i w oczach społeczności, której chce być członkiem.

*

„Jesień Cheyenów" i „Zabójcy" pojęte jako mity z całym dobrodziejstwem mitologicznego inwentarza — zatem z odpowiednimi typami ludzkimi — służą potrzebom społecznym swoiście amerykańskim. Wydaje się przy tym, że w obu tych filmach można zaobserwować znamienne przemiany stosunku twórców do ustalonej tradycją treści mitów. Zdaje się, że zachodzące modyfikacje mitycznego światopoglądu stanowią w jednakowym stopniu jego obronę, jak i odbicie pewnego przykrego faktu. Faktu mianowicie, że realne postawy człowiecze, na które mity wywierały od lat swój wychowawczy wpływ — przerosły oczekiwania wychowawców. Wzięły treść zbyt dosłownie i niechcący skompromitowały ją.

Znawca problematyki westernów i nie przypadkiem również filmu gangsterskiego, Robert Warshow, podnosi rzecz widzianą, lecz rzadko uświadamianą. Chodzi o broń wiszącą u pasa bohaterów i tworzącą, w obu filmowych gatunkach, ośrodek wizualnego i emocjonalnego zainteresowania. Warshow konkluduje, iż podkreśla to ważność broni dla umysłowości i wyobraźni amerykańskiej. Ostatnio publikowana statystyka (według której ilości broni posiadanej prywatnie przewyższa stan posiadania armii amerykańskiej — 90 mln wobec 4,j mln sztuk) — ujawnia jej znaczenie w codziennym życiu.

Pozwólmy sobie w tym miejscu na dość zaskakujące porównanie. Otóż w świecie zwierząt im silniejsi, im lepiej uzbrojeni przez naturę są osobnicy, tym bardziej zrytualizowane są sposoby prowadzenia przez nie walki... Prawidło znane zoologom i bynajmniej nie będące dla nich czymś dziwnym (rytualizacją, tu: sui generis normami ograniczającymi natura chroni swych silnych przedstawicieli przed wzajemnym wymordowaniem się) — odżywa w nowoczesnym westernie i filmie gangsterskim. Dlaczegóż bowiem najemny morderca, bohater „Zabójców" Lee Marvin — self-made man postawiony nie tyle poza, co ponad społeczeństwem — traci czas na zajęcia nie związane z uprawianiem zawodu? Najmujący go nie zachowali czystości gry, człowiek, na którego polował Marvin, umarł nim padły strzały Marvina. Zmuszono Marvina do strzelania do słabszego, co jest sprzeczne z zasadą obowiązującą w westernach, obecnie jak widać przeniesioną do gatunku gangsterskiego; lub — ironizując — do wykonania pracy bezcelowej, co z kolei kłóci się z pragmatyzmem amerykańskim.

Marvin szukający odpowiedzi na pytanie, czemu obiekt polowania nie uciekał, Marvin pasujący się i w rezultacie chylący czoła przed obcym mu dotychczas pojęciem martwoty duchowej — budzi naszą sympatię. Jest to zabieg scenarzysty i reżysera bardzo przewrotny. John Ford w „Jesieni Cheyenów" obiera inną, uczciwszą drogę nie rehabilitacji, lecz ośmieszenia uroczego, atrakcyjnego, godnego uwielbienia mistrza pistoletu.

Zastanawiam się, dlaczego Ford tak bezbłędnie umiejący opowiadać, włączył do „Jesieni Cheyenów" scenę Jamesa Stewartowego pokera, która jeżeli nie rozbija, to na pewno przerywa płynny tok opowieści i przytłacza swoją atrakcyjnością tzw. całą resztę. I umiem sobie wyjaśnić istnienie tej sceny jedynie jej pointą. Ową brawurową jazdą szeryfa Earla Wyatta powozikiem na pole bitwy w towarzystwie pokerowego partnera oraz damskich spódniczek, furkocących na przemian z chorągwiami. Obrona współobywateli okazuje się zabawą, a próżność — impulsem działania uzbrojonego self-made mana.

GUSTAW ROMANOWSKI

Blady ślad akwareli

Henryk Starzyński — Autoportret (akwarela)

Czy technika akwarelowa potrafi dziś sprostać potrzebom nowoczesnej wypowiedzi artystycznej? Czy z samej swej istoty możliwości warsztatowe akwareli nie kończą się na granicy konwencji przedstawiającej, realistycznej, a więc — generalnie biorąc — tradycyjnej?

Pytań tych nie rozstrzyga wystawa Klubu Akwarelistów z Krakowa, a właściwie — jeśli przyjąć połowicznie — potwierdza jedynie postawione w nich tezy.*) Piętnastu plastyków zrzeszonych w Klubie, jest — poza Stefanem Sokołowskim, który szuka nowych zastosowań treściowych dla akwareli — realistami tradycyjnymi. Od zupełnie XIX-wiecznej jeszcze manie ry, po kapizm i inne próby odejścia od tej historycznej formuły w kierunku kubistyczno-konstrukty wistycznym. Jednakże próby te, nieśmiałe i kompromisowe, nie wy chodzą poza tradycyjny modelunek przedmiotu, dlatego też nie zmieniają ogólnego oblicza wystawy. Jest to bowiem wystawa realistów. Potem dopiero dodajmy — akwarelistów.

Czy zatem akwarela musi dziś być konserwatywna, czy też obecny jej stan odpowiada tylko postawie uprawiających tę technikę plastyków? Odpowiedzi na to pytanie szukać należy we współczesnej sytuacji czysto warsztatowej w plastyce. Akwarela jest techniką trudną, wymagającą doskonałego wyczucia wzrokowego i dużej dyscypliny manualnej. Czysta, klasyczna akwarela nie toleruje żadnych poprawek; raz postawiona plama barwna jest ostateczna dla formy i wyrazu pracy. Potrzeba zmiany jakiegoś elementu w obrazie, oznacza sięgnięcie po nowy, czysty arkusz papieru czy bibuły. W akwareli nie ma podmalówek, korekt, zmian kolorystyki. A przy tym jest to technika właściwa dla zamierzeń kameralnych, choć — być może — to tylko się tak przyjęło. Nie tak spektakularna, jak np. technika olejna, wymaga jednak akwarela znacznie lepszego warsztatu, większej finezji — a nade wszystko — większej cierpliwości w akcie tworzenia.

I tu chyba leży główna przyczyna niepopularności akwareli wśród młodych twórców. Niepopularności powodującej, że ta stara technika zamiera dziś gdzieś na peryferiach bieżącej produkcji artystycznej. W Anglii akwarela jest pielęgnowana i rozwijana dzięki stowarzyszeniu Royal Society of Painters in Water-Colours wydającemu własne pismo i organizującemu wielkie coroczne wystawy akwarelistów. Stąd też poziom akwareli angielskiej — głównie pod względem warsztatu — jest bezsprzecznie najwyższy w świecie i pod tym względem obecne próby polskich akwarelistów są raczej skromne. Dzięki bogatszej tradycji i istniejącemu zapleczu organizacyjnemu, akwarelą w Anglii zajmuje się wielu plastyków, w tym z najmłodszego pokolenia, stąd i oblicze artystyczne, jakie reprezentuje tam ta technika, jest ciekawe i różnorodne.

Tymczasem w Polsce najwybitniejsze dokonania w tej dziedzinie należą nadal do Juliana Fałata; po nim nikt już nie zaproponował oryginalnej, nowej — choćby tylko warsztatowo — akwareli. Dlatego też przeważnie wszystkie, lub przynajmniej większość powstających obecnie prac akwarelowych rodzi się w cieniu odbitym od fałatowskiego modelu. Tak też właściwie przedstawia się krakowski Klub Akwarelistów. Anna Smoleńska-Milewska, Władysław Serafin, Irena Stankiewicz-Skoczowa, Irena Gerard, dysponują poprawnym warsztatem akwarelowym, kulturą, kompozycyjną. Jest to jednak fałatowszczyzna, której historyczny pierwowzór będzie zawsze dla nas śmielszy, ciekawszy, o wiele bardziej dynamiczny. W żadnej dojrzałej działalności artystycznej poprawność warsztatowa nie może być traktowana jako sukces. To wiemy.

Najlepsze niewątpliwie prace na wystawie należą do Henryka Starzyńskiego. Jego realizm — skrótowy, dynamiczny i opanowany, daje dużą satysfakcję widzowi poszukującemu dobrej akwareli wykonanej w tej konwencji. W akwarelach Starzyńskiego dominuje staranna kompozycja; kolor jest delikatny, stonowany i spełnia rolę służebną. Starzyński nie odwołuje się do wzorców fałatowskich, jeśli dźwięczy w jego pracach tradycja, to jakieś odbicie po Chełmońskim, może Rapackim.

Natomiast u Stanisława Westwalewicza wszystko — kompozycja, kolorystyka, temat, są rodem z malarstwa Stanisławskiego. Zresztą, wzorzec polskiego pejzażu, jaki stworzył w malarstwie Stanisławski, frapuje plastyków nie od dziś. Dziś jednakże, mimo całą trafną poprawność, jest to już stylizacja, odbicie.

Impresjonistyczną, na poły abstrakcyjnie żywą kolorystyką odznaczają się prace Izabeli Delekta-Wicińskiej, nie wykraczające jednak poza swoje ornamentycyjne przeznaczenie.

Tematyka prac: tradycyjny pejzaż, portret, bukiet kwiatów, wytycza akwarelistom nadal marginesową drogę na płaszczyźnie naszej współczesnej sztuki. Ubóstwo tematyki, brak odwagi przekroczenia tradycyjnych granic malarstwa, zakreślonych jeszcze przez ubiegły wiek, spychają dziś akwarelę do roli kopciuszka i nadają jej charakter malarstwa niedzielnego.

Słuszna jest więc inicjatywa kilkunastu krakowskich plastyków, którzy powołali na swoim terenie Klub Akwarelistów. Poszerzenie tej inicjatywy o inne ośrodki byłoby może posunięciem, które mogłoby przywrócić akwareli należną jej wśród innych technik malarskich rolę.

Ośrodek Propagandy Sztuki w Łodzi — Wystawa Klubu Akwarelistów z Krakowa — październik 1970. Wystawa otwarta staraniem BWA i TPSP w Łodzi.

TP OBIEKTYW

POŻEGNANIE Z WOSZCZEROWICZEM

Powtórzenie z taśmy telerekordingu sztuki Carla Zuckmayera „Kapitan z Koepenick" było pożegnaniem z Jackiem Woszczerowiczem. Właśnie telewizja była w stanie ożywić zmarłego przed kilkunastu dniami aktora, dać mu szansę pośmiertnego recitalu.

Patrzyłem na krępą, wielkogłową sylwetkę Woszczera (tak mówiło się o nim wśród ludzi teatru) wypełniającą ekran telewizora i pozwoliłem płynąć potokowi wspomnień. Pamiętam pełne wzruszenia chwile podczas pierwszej po wojnie premiery teatralnej w Łodzi. Było to „Wesele" Wyspiańskiego, wystawione w dniu 22 marca 1945 roku. Woszczerowicz grał wówczas Stańczyka.

Zaraz po tej kreacji nastąpiły dalsze (wymieniam tylko „łódzkie"): Tartuffe w „Świętoszku", Łatka w „Dożywociu", molierowski Skapen. Żebrak w „Elektrze", Giraudoux (dublowany z Zelwerowiczem), Homer w „Homerze i Orchidei" Tadeusza Gajcego, Merkury w „Amfitrionie 38" Giraudoux i Arnolf w „Szkole żon". Wreszcie już gościnnie w 1955 roku — Sganarel w „Don Juanie". Każda z tych postaci była tak inna i tak zarazem przepojona niepowtarzalną osobowością artysty.

W życiu był jakby nieporadny, prawie śmieszny. Pamiętam, jak spotykałem go przed bramą domu, w którym mieszkał, zaraz po wojnie, przy ulicy Brzeźnej pod ósmym. Spacerował z wózkiem ze swym urodzonym tu właśnie w Łodzi synkiem (ten ukochany jedynak zginął w dwadzieścia lat później porwany przez tatrzańską lawinę) i uczył się z egzemplarza roli. Ubrany był w niezgrabny płaszcz wojskowy, przez ramię przewieszoną miał torbę — konduktorkę.

Jego niepozorna postura i nieco skrzeczący głos stanowić miały przeszkodę w zawodzie aktorskim. Juliusz Osterwa w latach dwudziestych nie rokował mu kariery. Nie uwzględnił jednak w rachunku ogromnej pasji i rzadkiej pracowitości Woszczerowicza. Usilną pracą nad sobą (zmienił głos, „przebudował" nawet proporcje twarzy drogą nieustannych ćwiczeń mięśni — jak wspomina Henryk Szletyński) potrafił z fizycznych ułomności stworzyć atuty swego aktorstwa.

W antymilitarystycznej satyrze Zuckmayera nadał Woszczerowicz komicznej postaci szewca i exwięźnia Voigta wymiar filozoficzny. Była w nim smętna zaduma nad ludzkim losem. Voigt Woszczerowicza na małym ekranie był reprezentantem tych wszystkich ludzi, których najskromniejsze nawet aspiracje życiowe nie mają szans urzeczywistnienia.

Anegdotyczna historyjka z przebraniem się w mundur kapitana gwardii cesarskiej i zawładnięciem ratuszem miasta Koepenick urasta do miary komedii ludzkiej. Mały człowiek w stylu Szwejka czy Chaplina, samotny i wyobcowany w świecie brutalności i przemocy, bierze sobie chwilowy rewanż za wszystkie rozczarowania i poniżenia. To nic, że wkrótce zostanie zdemaskowany i ponownie zasądzony. Wyjdzie z tej historii jako moralny zwycięzca. To nie on jest śmieszny, ale jego prześladowcy.

Grał Woszczerowicz rolę Voigta jak zwykle w głębokim skupieniu. Wpisywał w tę postać jakby wszystkie gorzkie doświadczenia własnego życia i całą swą psychofizyczną osobowość. Nie wiem, czy miał przy tym świadomość — było to przed paru laty — że jego droga się kończy. Ale w kreacji swojej przekazywał jakby sumę swej wiedzy o życiu, rozliczał się ze spraw ogólnoludzkich i aktorskich.

To artystyczne zamknięcie rachunku życiowego przez Woszczerowicza przesłoniło mi inne doznania płynące ze spektaklu. Wszystko w nim, w obliczu śmierci aktora stało się mniej ważne, drugoplanowe. Jego mądra, wyrazista twarz, jakby stworzona do kamerowych zbliżeń, jego charakterystyczne zawieszenie głosu, czasem w pół nie dopowiedzianego słowa, miały w sobie wstrząsającą siłę.

Ekran telewizyjny i filmowy ukaże nam pewnie jeszcze nieraz świetne kreacje Woszczerowicza, ale nie wydaje mi się, by powtórzył się jedyny w swoim rodzaju nastrój, jaki przyniosła emisja „Kapitana z Koepenick" w dniu 2 listopada. Nastrój pożegnania z AKTOREM.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Pokazywany w czasie Konfrontacji 69 film „Wolnego, wolnego" wchodzi obecnie na ekrany pod tytułem „CHŁODNYM OKIEM". Haskell Wexler — scenarzysta, reżyser i operator tego filmu, dał mu tytuł „Medium Cool". Określenie „cool" (zimny) odnosi się do telewizji — środka przekazu (medium), którego wszechobecność w życiu społeczeństwa amerykańskiego czyni go podstawowym czynnikiem kształtowania umysłów, psychiki i moralności.

Wexler dokonuje w swym filmie gorzkiej oceny roli środków masowego przekazu, zwłaszcza telewizji i jej wpływu na odbiorców. Telewizja, w wydaniu amerykańskim, niezwykle sprawna, obecna jest przy wszystkich zdarzeniach i obecna jest w każdym domu. Niesie informacje tak szybko, iż niemal je wyprzedza, kształtuje niezwykle sugestywnie opinie wygodne jej mocodawcom, epatuje gwałtem i okrucieństwem, będącym bardzo często rejestracją autentyzmu. Przy rodzinnej kolacji ogląda się na tych samych prawach obrazy reklam mydła, walczących kowbojów, tańczące girlaski i obrazy demonstracji studenckich, rozruchów murzyńskich czy samopalenia buddyjskiego mnicha. Efekt tem końcowym owych wizualnych bodźców staje się najczęściej apatia, będąca wynikiem odruchu samoobrony.

W wielowątkowym i wieloproblemowym „Medium cool" telewizja jest tematem, ale równocześnie pretekstem dla wprowadzenia wielu innych aktualnych problemów życia społecznego i politycznego Stanów Zjednoczonych.

Akcja filmu rozgrywa się w dniach „gorącego lata" 1968 roku w Chicago. Było to lato demonstracji murzyńskich i studenckich niezwykle brutalnie tłumionych przez policję. Na tło tych zdarzeń rzuca Wexler fikcyjne losy swych bohaterów — właśnie ludzi telewizji ukształtowanych przez nią i przez pracę dla niej. Sceną wstrząsającą, lecz w sposób niemal symboliczny ludzi tych charakteryzującą jest sytuacja, w której bohater filmu, reporter telewizyjny najpierw dokonuje zdjęć wypadku samochodowego, a póź niej dopiero zawiadamia pogotowie. Taką samą sytuacją, w której nasz bohater będzie już ofiarą, a nie świadkiem, Wexler w niezwykle dramatyczny sposób zamknie swój film.

Znakomitość filmu Wexlera tkwi jednakże nie tylko w jego walorach problemowych i bezkompromisowym, odważnym spojrzeniu na własne społeczeństwo. Wexler osiągnął w swym fabularnym przecież dziele rzadko osiągalną jeszcze w filmie współczesnym niemal pełną iluzję autentyczności. Fikcyjne losy bohaterów, przedstawione konsekwentnie według reguł fabularnej dramaturgii, wtopił w tło dokumentalne (sekwencje w dzielnicy murzyńskiej, wypowiedzi działaczy murzyńskich, manifestacje studenckie), uzyskując niezwykły efekt rzeczywistości autentycznej, jak gdyby uchwyconej ukrytą kamerą.

Wexler, uczeń mistrzów cinema-verite, ich metodę twórczą podporządkował jednakże określonej koncepcji kreacyjnej. W filmie tym, w którym trudno odróżnić rzeczywistość od inscenizowanej fikcji, kamera rejestrująca ów świat pełen grozy, będąc również „zimnym medium", pełni jednak że funkcję wywoływania reakcji „gorących", reakcji sprzeciwu wobec świata przez nią na taśmie ukazanego.

* * *

Jeszcze jedną premierą Dni Filmu Radzieckiego jest w tym roku „BIAŁE SŁOŃCE PUSTYNI" W. Motyla. Reżysera tego znamy już jako autora uroczego filmu, „Żenia, Żeniecz'ka i Katiusza", zachwycającego liryzmem, ciepłem i humorem. „Białym słońcem pustyni" Motyl potwierdza niezwykły talent pozyskania widza niepowtarzalnym klimatem swych filmów. W nowym swym filmie potrafił osiągnąć niezwykłą harmonię komizmu i tragizmu, rewolucyjnej opowieści heroicznej i opowieści westernowej, liryzmu i parodii. Niejednolitość stylu i konwencji gatunkowej zdawać by się mogła zaprzeczeniem możliwości osiągnięcia owej harmonii. A jednak udało się to reżyserowi w tym niecodziennym, przewrotnym, chciałoby się rzec, wyzwolonym ze wszystkich konwencji i schematów tematycznych filmie. Heroicznemu, rewolucyjnemu tematowi nic nie zaszkodziła stylistyka westernu, czy nawet filmu gangsterskiego. Po prostu chyba dlatego, że bohaterowie filmu to Rosjanie, wnoszący w dzieło swą obyczajowość, cechy charakterologiczne, a także nowo ukształtowaną świadomość społeczną. Jest to historia nadwołżańskiego chłopa-czerwonoarmisty, który wypełnia zadanie przeprowadzenia przez piaski pustyni siedmiu kobiet z haremu, broniąc je przed ich mężem Abdułłą i niemal samodzielnie pokonując jego bandę, jest to historia jego wierności wobec czekającej nad Wołgą Katarzyny. Na specjalną uwagę zasługuje konstrukcja dramaturgiczna tej opowieści, z góry zamierzona naiwność narracji, jej świadomy prymitywizm. Filmem nie rządzi żadna logika przebiegu czasowego, czy prawdopodobieństwa sytuacyjnego. Reżyser każe się z tym godzić, gdyż fantazja ludowa może sobie na to pozwolić. Ważne jest, by ta opowieść była piękna i by nas wzruszała.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

FRESKI Z FLORENCJI

Wielka powódź we Florencji w roku 1966 zagroziła zniszczeniem skarbów kultury w tym mieście. Dzięki pomocy wielu krajów zdołano uratować znaczną część bezcennych zabytków. M. in. ocalono przed zniszczeniem przez wodę i wilgoć ponad 2.300 metrów kwadratowych, wspaniałych fresków florentyńskich wykonanych przez tak słynnych artystów wczesnego włoskiego Odrodzenia jak Giotto, Orcagna, Piero Della Francesca, Fra Angelico.

Obecnie w Petit-Palais w Paryżu odbywa się wystawa sześćdziesięciu ośmiu fresków florentyńskich. Poprzednio freski te pokazywane były w Nowym Jorku, Amsterdamie, Londynie, Monachium, Brukseli, Sztokholmie, Kopenhadze i Lugano.

Sztuka malowania ściennego w XIV czy XV w. była niezwykle trudna i wymagała ogromnego doświadczenia, nabywanego nieraz przez artystę w ciągu wielu lat. Farby kładziono na wilgotny podkład w który wsiąkały; kolory

po wyschnięciu tynku zmieniały się i artysta z góry musiał przewidzieć ten efekt. Za to gotowy, wyschnięty już fresk lśnił całą żywością, czystością i przejrzystością barw nieporównanie piękniej niż przy malarstwie innego typu. Michał Anioł mówił że znacznie wyżej ceni malarstwo *a fresco* niż malarstwo olejne, twierdząc, że to ostatnie dobre jest dla kobiet lub bogatych leniuchów.

Jak wyglądała technika malowania *a fresco*? Początkowo artysta pokrywał mur pierwszą warstwą tynku, dość jeszcze chropawą. Warstwa ta nazywała się *arriccio*. Stojąc teraz na drabinie artysta wykonywał duży rysunek węglem, jakby pierwszy szkic, a potem malował zarysy czerwoną farbą tzw. *sinopią*. Nazwa ta przeniosła się na stępnie na nazwę samego rysunku. *Synopia* pokrywana teraz była cienką warstwą, starannie wygładzoną, świeżego, wilgotnego tynku. Warstwa ta nosiła nazwę *intonaco*. Przez wilgotną jeszcze *intonaco* (najczęściej mieszaninę wapna i piasku) przeświecała *sinopia*. Mistrz powtarzał teraz na *intonaco* przeświecający rysunek po czym wodnymi farbami wykonywał przy pomocy uczniów czy pomocników właściwy fresk. Wodne farby i warstwa tynku wysychając tworzyły już jednolitą masę.

Obecnie przy zdejmowaniu fresku zastosowano dość skomplikowaną technikę, która pozwala na oddzielenie *intonaco* od *arriccio*. Tak zdjęty fresk utrwala się następnie na podłożu z tworzywa sztucznego. Dzięki oddzieleniu dwóch warstw, *intonaco* i *arriccio* można je ze sobą porównywać, a więc sprawdzić pierwotny zamysł twórcy fresku i ew. zmiany. Ciekawe, że niejednokrotnie *sinopia* różni się od ostatecznego rysunku fresku. Czasem jest to w inną stronę nachylenie którejś z centralnych postaci lub inne jej ustawienie, czasami szczegóły różnią się między sobą. Artysta w trakcie swej pracy najwidoczniej poszukiwał jeszcze najwłaściwszego wyrazu dla swej koncepcji. Z chwilą jednak kiedy przystąpił już do ostatniej fazy swej pracy, pokrywania wodnymi farbami *intonaco*, nic już poprawić i zmienić nie mógł.

Sztuka *a fresco* wywarła znaczny wpływ na całe malarstwo europejskie. „Tu we Florencji — czytamy w paryskim tygodniku „L'Express" — narodził się typ malarstwa, który dominował aż do XX wieku w sztuce opartej na perspektywie i dającej wrażenie trzeciego wymiaru".

Inni recenzenci wystawy podkreślają z naciskiem wielkie mistrzostwo twórców fresków, zarówno techniczne jak i artystyczne.

50 LAT MUZEUM N. G. CZERNYSZEWSKIEGO

Na brzegu Wołgi, w Saratowie do dziś dnia stoi dom w którym żył i umarł wybitny publicysta, krytyk i powieściopisarz Nikołaj Gawriłowicz Czernyszewski.

Pół wieku temu W. I. Lenin podpisał dekret Rady Komisarzy Ludowych o stworzeniu w domu Czernyszewskiego muzeum jego imienia. Od tej pory w domu-muzeum pieczołowicie zgromadzono wszystko co związane jest z życiem i działalnością wielkiego pisarza rosyjskiego. Muzeum stało się też centrum naukowo-badawczym dla prac o Czernyszewskim. Obecnie społeczeństwo miasta Saratowa przygotowuje się do obchodów 50-lecia powstania muzeum. W uroczystościach jubileuszowych weźmie także udział wnuczka Czernyszewskiego, honorowa obywatelka Saratowa, H. M. Czernyszewska.

Przypomnijmy pokrótce, że Nikołaj Czernyszewski (1828—1889) w latach 1856—1862 wraz z Dobrolubowem redagował rewolucyjno-demokratyczne pismo „Sowriemiennik". W piśmie tym Czernyszewski publikował szereg ważnych prac historycznych, filozoficznych i ekonomicznych. Za swą działalność postępową Czernyszewski zostaje aresztowany w roku 1862, a następnie skazany na 7 lat katorgi i na dożywotnie zesłanie. W roku 1883 pozwolono mu osiedlić się w jednym z miast europejskiej Rosji. Pisarz wznawia swą pracę osiedlając się w Astrachaniu.

Jako krytyk literacki Czernyszewski walczył o literaturę realistyczną, zaangażowaną po stronie postępu społecznego. Zwalczał hasło „sztuka dla sztuki". W więzieniu napisał jedno z najważniejszych swych dzieł literackich „Co robić?" w którym zawarł swe idee socjalizmu spółdzielczego. Później napisał powieść autobiograficzną pt. „Prolog". Swoje postępowe, rewolucyjne poglądy wyrażał w wielu swoich pismach hsitorycznych i filozoficznych. Jest też autorem rewolucyjnych proklamacji m. in. „Do chłopów pańskich" i „Listy bez adresu".

WIELKA WYSTAWA FOTOGRAFICZNA W MOSKWIE

W Moskwie została otwarta wielka wystawa fotograficzna pod nazwą: „Nasza Ojczyzna w artystycznych fotografiach".

Udział w wystawie wzięło pięciuset fotografików ze wszystkich republik ZSRR. Nadesłano półtora tysiąca zdjęć. Zebrane razem stanowią wielką panoramę życia Kraju Rad. Wystawa reprezentuje bogata i różnorodną tematykę oraz rozmaite techniki fotograficzne.

W wystawie wzięli udział fotograficy, którzy zdobyli nagrody na międzynarodowych wystawach. I tak np. „Tratwy" Achłomowa uzyskały złoty medal we Francji, „Barwy jesieni" Buszkina zdobyły pierwszą nagrodę na wystawie w Delhi, a fotogram zatytułowany „Trick" otrzymał złoty medal na wystawie w Stanach Zjednoczonych.

Spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Zemsta nietoperza"	1	1260	100
„Królewna Śnieżka"	1	1260	100
„Faust"	1	1260	100
„Orfeusz w piekle"	1	1260	100
„Wieczór baletów polskich"	1	832	78
NOWY			
„Zemsta"	1	700	100
„Janosik"	2	1200	99
„Będę mówił szczerą prawdę"	1	700	100
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	1	600	90
Mała Sala			
„Teoria Einsteina"	2	300	75
„Rodeo"	1	200	100
„Kariera"	1	200	100
„Pelikan"	1	200	100
POWSZECHNY			
„Lizystrata"	3	1500	90
„Profesja pani Warren"	2	1320	100
„Wszyscy moi synowie"	3	1980	100
JARACZA			
„Wszystko w ogrodzie"	2	865	84
„Król Edyp"	3	1542	100
„Jegor Bułyczow	1	514	100
FILHARMONIA			
koncerty symfoniczne	2	1400	100
OPERETKA			
„Dama od Maxima"	5	4484	85

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

WŁÓKNIARSKA DEKADA KULTURY

W RYTMIE MASZYN I W RYTMIE MUZYKI — CHÓR Z MOSZCZENICY — KLUB MŁODYCH MAŁŻEŃSTW — TEATR POEZJI Z TOMASZOWA — CZEKA NAS III FESTIWAL ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH — WIELKA AKCJA KULTURALNA — DOBRY SPRAWDZIAN AKTYWNOŚCI

Łódź jest stolicą polskiego włókniarstwa — to prawda, ale bardzo często zapominamy, że włókiennicze tradycje ma także Ziemia Łódzka, że w naszym regionie pracuje niezliczona rzesza włókniarzy. Właśnie zbliża się do końca Dekada Kulturalna włókniarzy województwa łódzkiego.

Jest więc okazja, aby powiedzieć parę słów o ludziach i kolektywach, o działaniu nie produkcyjnym w rytmie maszyn — ale o działalności kulturalnej w rytmie muzyki, w rytmie chóralnej kantaty...

A więc choćby kapela Jana Magacza i chór Jana Zaczyńskiego z Moszczenicy. Istnieje tu jak wiadomo oddział Pabianickich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Rewolucji 1905 roku — i tu w małej Moszczenicy chór śpiewa od... 1938 roku. Bez żadnej okupacyjnej przerwy, nawet w czasie wojny — dziś w ramach Zakładowego Domu Kultury — zespół śpiewaczy skupia osiemnastolatków i rencistów. Wielokrotnie wyróżniony i nagradzany na festiwalach i przeglądach pięknie zaprezentował się w czasie Dekady w sali tomaszowskiej „Mazowii".

Pisałem już kiedyś, że warunkiem rzetelnej i efektywnej pracy kulturalno-oświatowej jest stabilność kadry kierującej tym ruchem. Tę prawdę potwierdzają osiągnięcia w działalności kulturalnej włókniarzy województwa, gdzie na przykład w pabianickich ZPB im. Rewolucji 1905 roku Domowi Kultury „matkuje" (bo takie określenie chyba tu najlepsze) od dwudziestu lat Krystyna Adamczewska.

To ona wpadła zapewne na pomysł stworzenia... Klubu Młodych Małżeństw. Co to takiego? Niby żadna rewelacja, a jednak. Otóż młodzi przychodzą z pociechami do Klubu — dzieciom wspólną zabawę organizuje instruktor, zapewnia opiekę, a młodzi małżonkowie mogą w tym czasie wziąć udział w ciekawej prelekcji, pogadać przy kawie czy choćby potańczyć. Pabianice nie opatentowały tego pomysłu — warto więc go szerzej upowszechnić, bo bardzo wdzięczny i po prostu pożyteczny.

Pisząc o stabilności kadry kierującej działalnością kulturalną włókniarzy województwa w konkretnych, terenowych placówkach — myślę także o Stanisławie Gotwaldzie, kierującym zespołem Bełchatowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego. Myślę także o poloniście Romualdzie Krauze, który stworzył Teatr Poezji przy Międzyzakładowym Domu Kultury w Tomaszowie Mazowieckim. Pięknie zabrzmiał przygotowany przez Krauzego montaż „O Tobie, Ojczyzno", składający się z patriotycznych, zaangażowanych wierszy Broniewskiego, Staffa, Tuwima... Dobrze się stało, że w czasie włókniarskiej Dekady Kultury upowszechniono ten ze wszech miar zasługujący na uwagę spektakl poetycki. Dodajmy, że zespół składa się z uczniów szkoły przyzakładowej ZPW im. Nowotki — „Tomex".

Dekada Kultury zbliża się ku końcowi, ale nie oznacza to zawieszenia broni w kulturalnej batalii. Dekada jest zaledwie jedną z form prezentowania społeczeństwu województwa osiągnięć na niwie kultury i amatorskiej działalności artystycznej.

Lata 1970—1971 przynoszą nam III Festiwal Kulturalny Związków Zawodowych. Do tej próby stają także amatorzy-artyści wyłonieni z włókniarskiej rzeszy pracowników tego przemysłu na Ziemi Łódzkiej.

Ale przecież w tym szerokim ruchu chodzi nie tylko o występ na estradzie festiwalowej. Chodzi bowiem o organizowanie społecznych form aktywności kulturalnej ludzi pracy w dziedzinie oświatowej, ruchu amatorskiego i innych form wychowania. W ten sposób ruch związkowy wnosi rzeczywisty i trwały wkład w dorobek kulturalny Polski. Dalsza aktywizacja życia kulturalnego środowisk robotniczych, wzbogacenie treści i form pracy k.-o., szeroka konfrontacja dorobku i potrzeb ludzi w tej dziedzinie, przygotowanie do czynnego życia kulturalnego setek młodych robotników, przychodzących do pracy, zbliżenie do środowisk robotniczych pisarzy i artystów, twórców wszystkich dziedzin sztuki... Oto zadania, którym ma służyć Festiwal Związków Zawodowych — kolejna wielka akcja kulturalna, obejmująca ogromne rzesze ludzi pracy.

Kończy się Dekada, która była dobrym sprawdzianem osiągnięć kulturalnych włókniarzy województwa. Ale była ta Dekada również etapem Festiwalu Związków Zawodowych — udział w niej był przecież warunkiem udziału w tej wielkiej imprezie. I zdały w niej egzamin powiaty i środowiska, poszczególne branże przemysłu włókienniczego i poszczególne placówki kulturalne. Na Dekadę złożyły się setki imprez w całym województwie — quizy, turnieje i olimpiady kulturalne między zakładami pracy, przeglądy dorobku — słowem szereg różnorodnych i atrakcyjnych imprez propagujących kulturę, wiedzę, sztukę, osiągnięcia ludzi pracy w szerokim froncie ruchu kulturalnego.

Kończy się Dekada Kulturalna włókniarzy województwa łódzkiego i myślę, że już dziś można powiedzieć, że był to dobry sprawdzian aktywności środowisk robotniczych. Kończy się Dekada, która dla naszych włókniarzy była dobrym wstępem do wielkiej kulturalnej imprezy, która obejmie cały kraj w najbliższych miesiącach.

JERZY WIDOK

Bez strachu

W SPRAWIE KSIĘŻYCA

Często myślę o sposobach przeżywania Księżyca, o wiedzy tyczącej Księżyca, o wyobrażeniach Księżyca. Była może kiedyś epoka, kiedy przeżywanie Księżyca (najsilniejsze u somnambulików, zakochanych i poetów), wiedza o Księżycu, wyobrażenie Księżyca, stanowiły jednolity, spoisty układ myślowo-uczuciowy. Być może układ ten, wypełniający przez całe epoki drobną cząstkę psychiki każdego człowieka — był dla ludzi w pewnym sensie użyteczny, dostarczał należytych treści estetycznych, mistycznych, kulturowych. Tak czy inaczej sprawę Księżyca uważano za załatwioną i niejeden z tego powodu zacierał ręce. W miarę rozwoju empirycznej nauki europejskiej rozpadała się jedność żywionych o Księżycu mniemań, wyobrażeń i uczuć. Rzec by można, że wraz ze wzrostem wiedzy wzrastała w sprawie Księżyca niewiedza... Księżyc ze swojskiego, znanego, stał się początkowo tajemniczy, a potem szokująco nieznany. Wiedziano już, że jest druga, nieznana strona Księżyca i rosła wiedza o niewiedzy, tyczącej owej nieznanej strony. Somnambulicy poczuli się zagrożeni, tracili ziemię, a raczej dachy i parapety pod nogami, zakochani doświadczyli zawstydzającej śmieszności, co do poetów to ci rozpoczęli bunt przeciw nauce, walkę o ocalenie dawnego, baśniowego Księżyca. Autentyczność doznania artystycznego, podbudowaną rzekomymi kanonami humanistyczno - moralnymi, przeciwstawiali poeci danym nauki empirycznej. Porażka poetów w tym sporze wcale nie była natychmiastowa, cofali się stopniowo za umocnione przez stulecia szańce. Ściśle postawa poetów załamała się dopiero wtedy, kiedy pierwszy astronauta stanął na Księżycu — poeci upadli nie pod naporem empirycznej wiedzy — oni ulegli raczej obawie ośmieszenia. Liryzm źle się mieścił w formie absurdu, absurd nie jest domeną uczuć, jest on raczej zmanierowanym krewniakiem intelektu. Zatem liryków aktualnie nie ma już na placu (ziemskim czy księżycowym?) boju o Księżyc, o Księżyc prawdziwy, a w przyszłości użyteczny. Nie należy butnie wnioskować, że lirycy w przyszłych epokach nie ponowią próby zawładnięcia Księżycem... Jesteśmy ludźmi dwudziestego wieku i nasz Księżyc jest księżycem dwudziestowiecznym, a nie ponadhistorycznym i absolutnym. Niewątpliwie przyszłość będzie w sprawie Księżyca przynosić nowe ustalenia, nowe przeżycia, uczucia, wyobrażenia. Wiele jeszcze walk ludzie stoczą o Księżyc, zdobędą go jeszcze wiele razy i wiele razy utracą. Księżyc świecący nad naszymi głowami jest księżycem historycznym.

BERNARD SZTAJNERT

BRETT HALLIDAY

Wojna domowa

Hałas w pokoju sekretarki zaniepokoił Mike'a Shayne. Już miał zapytać co się dzieje, gdy Lucy Hamilton stanęła w progu gabinetu detektywa. — Michael, musisz mi pomóc. Nie wiem, co zrobić z tymi dwoma, upierają się, aby cię zobaczyć.

— Kim są?

— Jeden nazywa się Montgomery i pochodzi z Północy, sądząc po akcencie. Drugi — Beauregard jest z Południa. Starsi panowie, dobrze ubrani, za możni i piekielnie nerwowi. Już na korytarzu kłócili się.

— Jeden z Północy, a drugi z Południa... Sprawa na kilometr cuchnie Wojną Domową.

Lucy roześmiała się. — O czym mówisz?

— W tych dniach przypada stulecie Wojny Domowej. Są jeszcze w Ameryce ludzie, którzy to przeżywają. Powiedz im, żeby tu weszli.

Pan Beauregard był wysoki, gruby z lwią grzywą. Montgomery był szczupły, niski i pretensjonalny.

— Czym mogę panom służyć? — zapytał Mike.

Przez kilka minut obaj mówili jednocześnie, potem Beauregard osiągnął przewagę. — Mój drogi Jasonie — zagrzmiał tubalnym głosem — jesteś uparty jak muł i nie umiesz opanować swego temperamentu.

Montgomery poddał się. — Masz rację, Walterze.

Beauregard usiadł wygodnie w fotelu i zaczął poważnym tonem: — Mój przyjaciel i ja jesteśmy wspólnikami przedsiębiorstwa handlującego nieruchomościami. Posiadamy olbrzymie tereny tzw. Whilom Acres. Może pan słyszał o nich?

— Owszem, słyszałem. Lecz trudno sobie wyobrazic, że jesteście wspólnikami.

Błysk złośliwości zapalił się w oczach Waltera. — Już od trzydziestu lat, mimo różnicy charakterów. Przyszliśmy do pana z taką sprawą: jestem z Luizjany i nie mogę się zgodzić z poglądem nowojorczyka Jasona, że Południe przegrało Wojnę Domową. Wybraliśmy pana na rozjemcę.

— Rozjemcę? — zapytał zniecierpliwiony detektyw.

Beauregard wstał i nadął pierś jak generał przed wydaniem rozkazu do ataku. — Jutro o świcie Jason i ja będziemy się pojedynkować według wszelkich reguł kodeksu honorowego. Ten z nas, który pozostanie przy życiu udowodni słuszność swej tezy i zostanie jedynym właścicielem Whilom Acres.

— Zadziwiacie mnie panowie — rzekł detektyw. — Zwracam wam uwagę, że pojedynki są zabronione przez prawo. Poza tym żaden sąd nie zatwierdzi przejścia własności otrzymanej w takich okolicznościach, gdy zabójca wspólnika staje się jego spadkobiercą. No i sądzę, że Wojna Domowa sprzed stu lat nie może być powodem utraty przez jednego z was życia.

— Z tego wynika, że pan odrzuca naszą propozycję?

— Niestety, tak!

Stary Południowiec wstał. — Zawiedliśmy się, Jasonie. Myślałem, że rozmawiam z dżentelmenem. — Wspólnicy ukłonili się uprzejmie i wyszli.

Shayne zadzwonił do swego przyjaciela kapitana Willa Gentry i opowiedział mu o projekcie pojedynku. — Może coś wiesz o tych wariatach? — zapytał.

— Owszem. Wspólnicy nie mają krewnych ani żyjących spadkobierców. Od dwudziestu lat ich sprawami finansowymi zajmują się dwaj adwokaci: Redman i Parks.

— Dziękuję ci, Will. Czy spotkałeś się kiedy z taką głupotą?

Shayne pojechał do Dillon Building. Na drugim piętrze przed oszklonymi drzwiami biura Parksa usłyszał podniecone głosy. Otworzył drzwi. Naokoło stołu siedziały cztery osoby. Beauregard ważył w ręku stary pistolet z 1860 roku, Montgomery oglądał wnętrze futerału. Adwokaci wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Wszyscy zwrócili się w kierunku detektywa.

— Czy pan wie, że się puka? — zawołał jeden z adwokatów.

— Zostałem zaproszony — odpowiedział uśmiechnięty Mike.

Beauregard roześmiał się. — Proszę się uspokoić, Parks. To jest pan Shayne, widocznie przyjął naszą ofertę.

— Proszę siadać — rzekł Parks. — Czego pan sobie życzy?

Shayne zignorował pytanie i zwrócił się do Montgomery'ego: — Czy zastanowiliście się nad tym co wam powiedziałem?

— Tak — i nie zmieniliśmy zamiaru. Wszystko już ustalone, proszę się przygotować na godzinę 5, przyślemy po pana samochód.

Mike spojrzał na adwokatów. — Czy mam uważać, że zatwierdzacie panowie ten pojedynek wiedząc, że chodzi o rzecz niezgodną z prawem?

— Mam nadzieję, że nie przyszedł pan tu żeby udzielać nam lekcji prawa — rzekł z godnością Redman. — Jeżeli dwóch przyjaciół chce rozstrzygnąć spór pojedynkiem, my, jako dżentelmeni nie możemy przeciwstawiać się szanując prawo honoru. Jako adwokat musiałbym przeszkodzić jedynie w tym przypadku, gdyby pojedynek miał negatywne konsekwencje wobec ewentualnych spadkobierców. Lecz nasi klienci nie mają spadkobierców.

— Przypuśćmy, że w następstwie pojedynku obaj panowie umrą. Co się stanie z olbrzymim majątkiem Whilom Acres?

Parks zaczerwienił się. — Majątek przeszedłby wówczas na własność wykonawców testamentu.

— Na panów, Redman i Parks! — roześmiał się detektyw. — Właśnie to chciałem wiedzieć. — Potem zwrócił się do Beauregarda: — Nie przyjąłem waszej oferty i powtarzam moją radę. Cała ta historia nie ma sensu. Nie wiem, kto zorganizował tę farsę, lecz przysięgam, że zrobię wszystko, żeby przeszkodzić szaleństwu. A wam, panowie adwokaci, narobię bigosu na całe życie! A teraz żegnam was! — Mike wstał, gdy nagle rozkazujący głos przygwoździł go do miejsca.

— Nie ruszać się! — krzyknął Beauregard z wściekłością kierując pistolet w pierś detektywa.

— Walter — wtrącił się Montgomery — nie rób głupstw!

— Słusznie — potwierdził Redman — proszę odłożyć rewolwer!

— Zrobię, co chcę! — wrzasnął stary Południowiec. — To jest sprawa honorowa! — Podniósł uzbrojoną rękę.

Mike uskoczył na bok, w pokoju rozległa się detonacja. Pistolet rozerwał się w kawałki. Beauregard leżał na ziemi, ręce i twarz miał zmasakrowane.

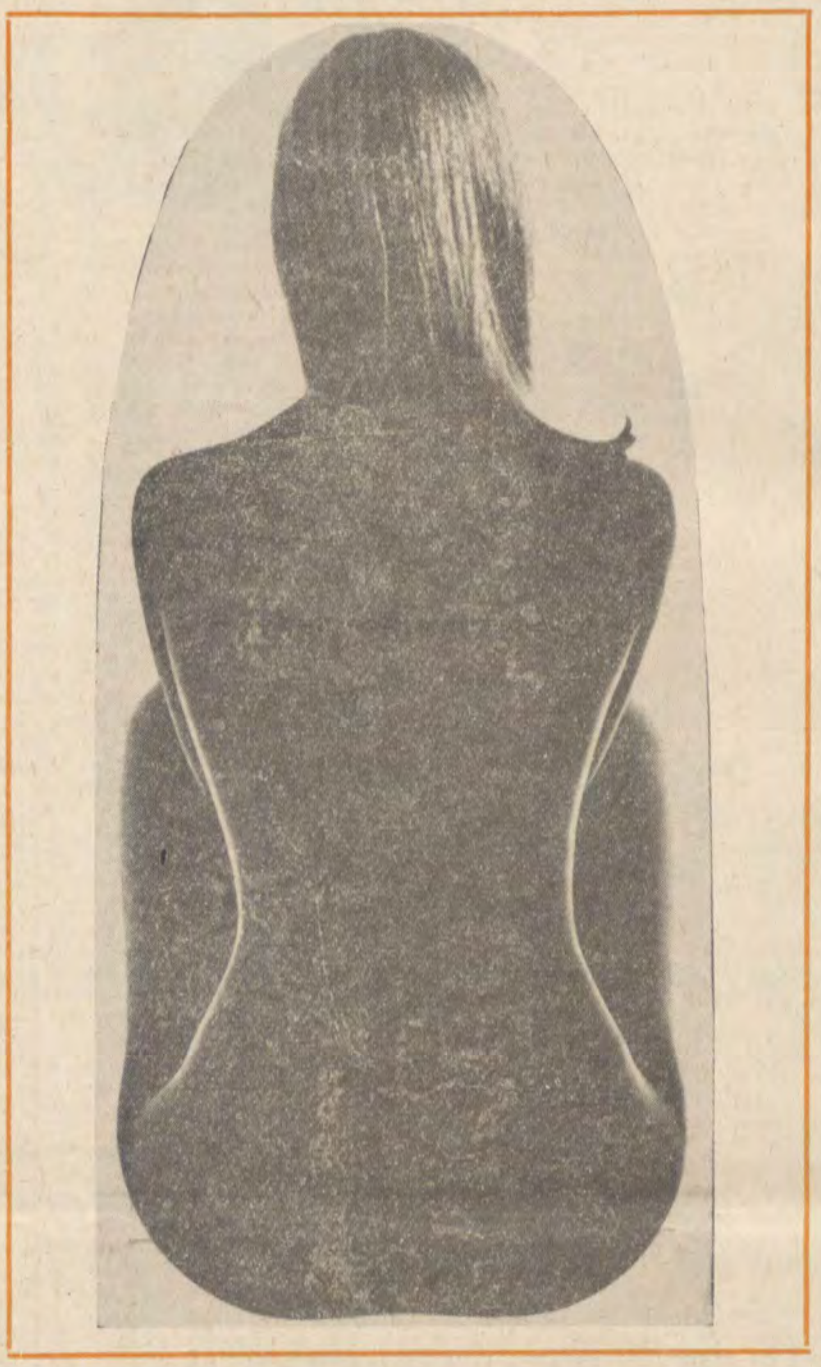

Wszyscy jak sparaliżowani przyglądali się zmarłemu. Adwokaci zbledli. Parks wyjąkał: — Jakie straszne nieszczęście...

— Nikt z nas tu nie zawinił, to przeznaczenie — stwierdził Redman.

— Zamknijcie dzioby! — rozkazał Shayne. — Zamiast mówić o przeznaczeniu pokażcie mi drugi pistolet. Na pewno jest przygotowany, żeby wywołać taką samą tragedię. — Mike obszedł biurko i podniósł z ziemi futerał. Był pusty. Zapewne Parks wsunął broń do jakiejś szuflady.

— Słuchajcie — rzekł detektyw — jeżeli mi nie dacie drugiego pistoletu, wywrócę to biuro do góry nogami!

— Każę pana aresztować! — wrzasnął Redman. — Nie posiada pan zezwolenia na penetrowanie naszego biura.

Mike wyciągnął swego Colta 38. — Znajdę to, co mnie interesuje.

Obaj adwokaci przerazili się, lecz nagle zaczęli się uśmiechać. Mike nie mógł zrozumieć, dlaczego. Wtem zimny głos za jego plecami rozkazał: — Schowaj broń, albo strzelam! — Shayne posłuchał.

— Wspaniała robota, panno Hasley! — ucieszył się Parks. — Proszę mi oddać broń, teraz ja przytrzymam tego szantażystę. A pani zatelefonuje do policji.

Sekretarka oddaliła się.

☆ * ☆

Mike Shayne został wypuszczony po kilkunastu godzinach dyskusji, kłótni, wyjaśnień. Przyjazd kapitana Gentry umożliwił detektywowi powrót do biura. Lucy Hamilton zadała mnóstwo pytań.

— Jestem przekonany, że pojedynek doszedłby do skutku. Pistolety tak przygotowane, że miały wybuchnąć w ręku ludzi, którzy będą strzelać. Niestety policja nie może niczego udowodnić adwokatom, gdyż pistolet Beauregarda rozpadł się na kawałki.

— Jeżeli Parks i Redman chcą zawładnąć posiadłością Whilom Acres, to muszą teraz pozbyć się Montgomery'ego.

— Trzeba temu zapobiec. Muszę znaleźć jakiś sposób skompromitowania tych spryciarzy. Teraz zacznie się moja wojna domowa.

☆ * ☆

Adwokaci Redman i Parks przybyli do willi Montgomery'ego wezwani telefonicznie. Stawili się w ciemnych garniturach z wyrazem okolicznościowego smutku na twarzach. Pan domu poczęstował ich w bibliotece starymi trunkami i gdy skończyli pić rzekł: — Mam nadzieję, iż nie będziecie niezadowoleni, że zaprosiłem osobę, którą już znacie. — To mówiąc otworzył drzwi i wpuścił Mike'a Shayne.

Adwokaci oburzyli się. Parks wstał protestując. — Panie Montgomery, nie możemy znieść obecności człowieka, który nas obraził.

Detektyw uśmiechnął się serdecznie. — Zapomnijmy o przeszłości, panowie! Jestem teraz w pewnym sensie związany z Jasonem i chcieliśmy panów o tym poinformować...

— O czym? — zaniepokoił się Redman.

— Przystąpmy do rzeczy — zaczął Montgomery. — Przywołałem panów, gdyż pragnę zredagować nowy testament. Może to będzie zaskoczeniem, lecz chyba przyznacie, że pieniądze nie mogłyby mieć lepszego przeznaczenia...

— Rozumiem — wtrącił Parks z aprobatą. — Chce pan coś przeznaczyć na dobroczynność, legaty dla instytucji... Doskonale, drogi Jasonie.

— Nie o to chodzi. Chcę zostawić cały majątek jednej osobie.

— A kto będzie tą sobą?

— Pan Shayne.

Obaj adwokaci skamienieli.

— Shayne i ja mamy wiele wspólnego. On także interesuje się Wojną Domową, przyrzekł mi, że wystawi pomnik ku czci poległych bohaterów. Zorganizuje też muzeum pamiątek z tamtych czasów....

Parks nie mógł tego znieść.

— Pieniądze Montgomery'ego należą prawnie do nas! — krzyknął.

Shayne zwrócił się do Jasona z zakłopotaną miną. — Ależ Jasonie, myślałem, że pieniądze są twoje i że możesz nimi dowolnie dysponować...

Montgomery uśmiechnął się ironicznie. — Parks i Redman popełnili błąd. Kierując moim majątkiem nabrali przekonania, że to jest ich własność.

— Co teraz zrobimy, Parks? — zapytał Redman.

— Postaram się, żeby uznano Jasona za człowieka niepoczytalnego. Rozgłoszę sprawę pojedynku i sąd nie zatwierdzi nowego testamentu. Głupcem był także Beauregard. Gdyby nie zabawiał się w moim biurze w cowboya, obaj zamordowaliby się własnymi rękami w czasie pojedynku. Co zaś do Shayne'a, to każę go aresztować za podstępne działania w celu zysku.

Mike podniósł rękę. — Dosyć tego, panowie, przedstawienie skończone. Skierował się w głąb biblioteki i zapytał głośno: — Czy to panu wystarczy, poruczniku Painter?

— Tak, Shayne, dziękuję — rzekł policjant rozchylając zasłonę okna. — Dla mnie dosyć. A wy, szanowni adwokaci, pójdziecie ze mną.

Montgomery podszedł do Shayne'a i uścisnął mu rękę.

— Dziękuję za wszystko. Jutro otrzyma pan czek na dziesięć tysięcy dolarów. Czy to wystarczy?

Oprac. *A.S.*

Lewym okiem

MAXI, MINI I OPTY

Każda branża ma jakieś swoje wąskie gardła i progi, przez które ani przeskoczyć, ani podpełznąć. Na przykład, pewna duża, państwowa instytucja wydawnicza nie może przeskoczyć przez okładki. Mogłaby wydać ileś tam książek więcej, w większych nakładach, nawet może papieru by wystarczyło, ale tego zwyczajnego, na stronice do czytania. Natomiast okładki wymagają innego rodzaju kartonu, limit się zamknął, cześć.

Oczywiście, jest na to rada. Zamiast trzech cienkich tomików w sześciu okładkach wydać jeden gruby tom w dwóch okładkach. Żeby było jeszcze oszczędniej — wydać całego Kraszewskiego w jednym tomie, nie, nieporęcznie, no to w dwóch.

Już dość dawno wpadli przecież ludzie na formułę ekonomiczną, według której maksymalna produkcja to minimalny koszt. Fabryka parasoli może je produkować taniej niż warsztat parasolnika. Ul dla tysiąca pszczół kosztuje taniej, niż gdybyśmy każdą pszczółkę chcieli kwaterować w osobnym pszczelim M-1. To prawda. Tylko, że jest to prawda, która często nie ma sensu.

Można zbudować gigantyczną piekarnię, do której z całego województwa zjeżdżać będą całe pociągi mąki i całe pociągi rozwiozą po województwie gotowe rogaliki. Agregat będzie trzaskał te rogaliki po milionie sztuk na godzinę. Rewelacyjnie tanio, prawie darmo. Już są takie piekarnie. Podobno nawet, jak doniosło „Życie Gospodarcze" — kierownictwo tych gigantów ma wystąpić z wnioskiem o zamknięcie małych piekarni, bo tam za duże koszty produkcji. Tymczasem do małych piekarni tłoczą się ludzie po bułeczki, a chleb z gigantów ma smak waty i konsystencję kitu. Rentowny to jest, tylko niejadalny.

Można by budować mieszkania bez ścian działowych: zamiast dwóch pokojów z kuchnią — dwa pokoje w kuchni. Oszczędność niewątpliwa. Można zbudowoć gigantyczną fabrykę krawatów i każdy wzór puszczać w piętnastu milionach sztuk, będzie kolosalna oszczędność. Można sprzedawać pietruszkę w jednym wielkim salonie pietruszkowym, zamiast w trzystu straganach z zieleniną. Oszczędność na personelu znakomita, na pietruszce mniejsza, bo do salonu przy Piotrkowskiej nikt z Kuraka nie przyjedzie. Można sprzedawać wódkę tylko w butlach litrowych, zamiast zatrzymywać się połowicznie przy półlitrówkach — cóż za oszczędność na szkle, na korkach, na ruchach rąk sprzedawców w sklepach monopolowych! Trochę tylko wzrosną koszty utrzymania izb wytrzeźwień i całego systemu lecznictwa, opuszczonych dni pracy, wypadków samochodowych, zawalonych mostów i skretyniałych dzieci.

Nie od rzeczy by było przypomnieć sobie, że istnieje i takie pojęcie ekonomiczne, które nie pozwala rozpasać się zanadto wyobraźni w kierunku maksymalizacji i minimalizacji. Mianowicie optymalizacja. Zawsze istnieje jakieś optimum, jakiś punkt najlepszej równowagi, poza którą w jedną stronę zaczynają się straty, a w drugą stronę bzdura, czyli też straty. Optimum — czyli właściwy, najlepszy stosunek elementów do siebie i do całości. Co to jest „właściwy stosunek"?

Ha, w tym cała sztuka, żeby go wyśledzić, podchwycić i wykorzystać. Nie uda nam się to, jeśli będziemy zafascynowani jedną, bezkrytycznie realizowaną zasadą: więcej! Więcej, żeby taniej!

Pomiędzy okładki „Pana Tadeusza" zmieści się tylko „Pan Tadeusz", chociaż mniej okładkowego kartonu byśmy zużyli, dodając tam jeszcze jakieś „Przeminęło z wiatrem".

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2303. H-5.